MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 4. WARSZAWA, 24 STYCZNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

DLACZEGO BANKRUTUJĄ?

MAJĄ w ręku władzę, pełnię jej mają. Przeniknęli we wszystkie tkanki organizmu państwowego, opletli go szczelną siecią swych wpływów. To samo uczynili z masą organizacyj społecznych. Nikt poczynaniom ich przeciwstawić się nie może. Znaczna część społeczeństwa, w pierwszych zwłaszcza latach po owładnięciu przez nich państwa, poparła ich bez zastrzeżeń: jedni dlatego, bo ślepo w nich wierzyli, inni dlatego, bo zniechęcili się do wszystkiego, co było przedtem.

A jednak, — mimo to wszystko, — bankrutują. Dlaczego? Jakież są w nich pierwiastki słabości?

Ubóstwo myśli. I nieodłączna od niego bezbrzeżna zarozumiałość.

Nic nie warte, co było przed nimi. Lekceważą i przekreślają przeszłość. Od nich świat się zaczyna. Oni jedni zdolni stworzyć nową Polskę.

Szósty już rok patrzymy na tą twórczość. Chyba dosyć czasu dla pokazania, co się umie i co się potrafi.

Gdzież są te nowe, samodzielne koncepcje? Gdzie planowe dążenie do jasno określonych celów? Gdzie pozytywne rozwiązanie palących zagadnień życia państwowego?

Odkrywanie Ameryk.

Eksperymenty, z których muszą się wycofywać ze stratami, albo przy których z jeszcze większemi stratami — upierają się: bo jakże przyznać się do błędu, zachwiać dogmat swej nieomylności?

A zresztą: kunktatorstwo, dreptanie w miejscu, szamotanie się wśród sprzeczności, czcza frazeologja...

Pustką od nich wieje.

Czują to niektórzy z nich i jeden na to widzą ratunek: sięgnąć do rezerwoaru sił intelektualnych, istniejącego w społeczeństwie i zasilać się niemi, choćby to nie byli „swoi" ludzie. Wołają więc o pomoc.

I cóż się pokazało?

Każdemu, który tam poszedł nie dla karjery, ale w interesie służby publicznej, ofiarowując swoją wiedzę i pracę, po niejakim czasie ręce opadają.

Bo tam trzeba tylko słuchać. Niezależna opinja nie jest tolerowana. Kto się odważy przy niej upierać, bezwzględnie zostaje na bok odrzucony.

I jeszcze jedno: tam nigdy nie wiadomo, co u góry nagle zostanie postanowione, jaki nowy fakt dokonany niespodziewanie zaskoczy — fakt, przekreślający wytkniętą linję postępowania, burzący najrozumniejszy plan działania.

Czy w tych warunkach można brać odpowiedzialność za czyny obozu, które żyruje się swojem nazwiskiem?

A przecież człowiek szanujący się nie potrafi nie poczuwać się do tej odpowiedzialności.

Ilu się widzi takich, którzy szarpią się ze sobą, pytając się wciąż siebie: czy pora już odejść? Bo czują czasem, że stracić mogą dobre imię, jeśli odejdą o pięć minut zapóźno.

Niema w tym obozie — u ludzi, którzy kierują nim i ton mu nadają — tego, co jedynie zapewnia owocność i trwałość rządów: wewnętrznej pokory w ustosunkowaniu się do Narodu i Państwa, bezinteresownego podporządkowania siebie i oddania się w ofiarną służbę, traktowania posiadanej władzy, jako narzędzia służebnego.

Pełne są ich usta słów górnych o Państwie, jako o najwyższem dobru człowieka, o obowiązku poświęcenia mu wszystkiego. Ale to miedź brzęcząca. Nie zagłuszy ona prawdy. A jest nią: żądza władzy dla niej samej, upajanie się nią, wykorzystanie jej dla celów osobistych—jednostek i koterji — identyfikowanie Państwa z koterją.

Gdyby żył dzisiaj Fredro, to patrząc na nich stworzyłby zamiast „Geldhaba" — typ inny: Pana

Machthaba... Choć nie tego pióra potrzeba dla przedstawienia współczesnego „Nowowładzkiego". Bo postać ta nie wywołuje śmiechu pogodnego i beztroskiego.

Młodość ich przypadła na epokę, kiedy materjalizm doszedł do szczytowego punktu swego rozwoju w naszem społeczeństwie. Ulegli wtedy całkowicie jego wpływom, wskroś nim przesiąkli. Nie rozumieją, a co ważniejsze, nie odczuwają roli i znaczenia pierwiastków duchowych W masie swojej są areligijni, albo antyreligijni, są amoralni albo niemoralni. Ile światła na ten stan ich duchowy rzuca choćby powszechnie znany stosunek ich — bardzo wielu z nich — do rodziny, do małżeństwa: częstość i łatwość z jaką się tam zmienia i zamienia żony.

Respekt czują tylko przed siłą: przedewszystkiem fizyczną, a potem gospodarczą. Wszystko inne jest w ich oczach pustem słowem, frazesem, dziecięco-naiwną mrzonką, którą dojrzały, „serjo" — człowiek nie powinien się zaprzątać.

Z tego zasadniczego ich nastawienia duchowego wynikają dalsze konsekwencje.

Obóz ich do głębi jest przepojony wiarą we wszechmoc Państwa, a Państwo jest w gruncie rzeczy dla nich niczem innem, jak tylko organizacją siły fizycznej. Ta wiara jest bodaj jedynym węzłem ideowym, spajającym ich wewnętrznie. Stosunek ich do Państwa ma charakter religijny. Zastępuje u wielu z nich — Boga.

Młodość spędzili i pojęcia swoje urabiali jedni — ci przeważnie z b. zaboru rosyjskiego — w tajnych organizacjach rewolucyjno-wojskowych, drudzy — ci przeważnie z Galicji — w szeregach wojskowych, legjonowych i armji austrjackiej — i to czasu wojny, a więc rozpętania do najdalszych granic przemocy państwowej. I wynieśli stamtąd, z przeżyć osobistych i doświadczeń jednostronnych, przekonanie, że władza państwowa jest jedynym celowym, wartościowym środkiem działania publicznego, że nieograniczoną jest skuteczność jej rozkazu i zakazu we wszystkich dziedzinach życia. Wszystko musi słuchać jej władczego dyktanda i ukorzyć się.

Wszystko dla Państwa. I wszystko przez Państwo.

Nie mając wykształcenia, nie znają natury Państwa, pojęcia o tem nie mają, gdzie są granice jego działania i możliwości, które przy jego pomocy można osiągnąć. Przyznając mu wszechmoc, żądają od niego rzeczy, których ono nigdy i nigdzie dać nie może.

Do jednostki ludzkiej z jej indywidualnemi aspiracjami do duchownej niezależności i wolności, z jej bogactwem swoistych cech, odnoszą się z niechęcią i obawą. A z lekceważeniem, niemalże z pogardą i także z trwogą odnoszą się do społeczeństwa, z jego barwnością, zmiennością, asymetrycznością jego form organizacyjnych, — o ile ono toruje sobie drogę rozwoju samodzielnie, poza wpływem Państwa.

Nie tylko lekceważą, ale wprost nie widzą przeogromnych sił duchowych, tkwiących w społeczeństwie, których siła państwowa nigdy zastąpić nie może, a które jedynie ochraniać winna, współdziałając z niemi najdyskretniej. A oni przeciwstawiają się im, paraliżują. Myślą, — naiwni, — że zdołają je zatamować, czy nawet zniszczyć.

I cóż dziwnego, że głową o mur uderzają.

Wielu, bardzo wielu z nich przesiąkło w młodości doktryną socjalistyczną, która wtedy właśnie, przed wojną, święciła największe triumfy, w umysłach młodzieży zwłaszcza, bo zawieszona w podniebiach ideologicznych, nie przeszła jeszcze przez próbę ogniową doświadczenia, smak miała dobrej nowiny.

I oto zrządzeniem losu dostali w ręce władzę. Więc twarzą w twarz zetknęli się z rzeczywistością, za bary wzięło się z nimi życie ze swojemi praktycznemi, realnemi zagadnieniami, tak niezmiernie ciężkiemi w tej dobie powojennej i dla Państwa odradzającego się dopiero.

Codzienne doświadczenie uczy ich, że ta doktryna nie daje im odpowiedzi zadowalającej na żadne z palących pytań, narzuconych przez teraźniejszość, nie wskaże im rozwiązania żadnego z tych zagadnień. Ale kto z nich ma odwagę posłuchać nauki życia i wysnuć z niej nieodparcie cisnące się konsekwencje, a więc, nawrócić na drogi, wskazane zdrowym rozsądkiem, utarte wiekowem doświadczeniem narodów, przeciwstawić się wyraźnie socjalizmowi, usunąć z naszego życia to wszystko, czem on je zaśmiecił w pierwszych latach istnienia Państwa i co je tak tragicznie wciąż rozstraja?

Czasem widać jakby nieśmiałe próby. Ale rozbijają się one o odpór środowiska, zbyt mocno związanego z socjalizmem nawykami myślowemi, a przedewszystkiem węzłami uczuciowemi, zadzierżgniętymi w młodości, niezdolnego przeto, poza nielicznemi jednostkami, do wyzwolenia się z duchowej jego niewoli. A gdzież bodaj jeden przykład Państwa, gdzieby rządy, w tej niewoli pozostające, nie doprowadziły go na brzeg przepaści?

Ale u niektórych z tych ludzi czynnikiem orjentacyjnym działania, jest nie tylko doktryna socjalistyczna, a więc pewien kierunek myślowy, suma określonych pojęć, lecz po za tem jeszcze pewien stan uczuciowy, podświadomie nawet działający w ich psychice.

U Galicjan widać to najczęściej.

Struktura socjalna tej dzielnicy, historja jej, zwłaszcza w okresie niewoli, sprawiła, że tu zagęściło się przeciwieństw socjalnych więcej, niż w jakiejkolwiek innej części Polski, i wyładowują się one tu najsilniej w sferze uczuciowej, dochodząc do nienawiści klasowej. Wyczuwa się to najbardziej w polityce pochodzenia chłopskiego i drobnomieszczańskiego z tej dzielnicy.

Linja ich postępowania przy wykonywaniu władzy krzywi się nieraz pod wpływem tych uczuć: pod pretekstem interesu publicznego załatwiają nieraz rozrachunki klasowe—ze szkodą dla Państwa.

I jeszcze jedno.

Doszli do władzy w drodze zamachu. Świadomość tego faktu utrzymuje ich w stanie ciągłego niepokoju. Główną ich troską jest, jak utrzymać się przy władzy, jak się asekurować przed jej utratą.

Zahypnotyzowani nieustanną obawą, przeważną część swej niebylejakiej energji zużywają nie na twórczą pracę państwową, ale na zwalczanie wszelkiemi środkami przeciwników, na rozbijanie społeczeństwa, będącego w ich pojęciu rezerwoarem sił wrogich, które kiedyś mogą się przeciw nim zmobilizować.

Zapatrzeni w to niepewne jutro, chcą sobie zabezpieczyć sojuszników na groźną chwilę rozgrywki. Doszli do władzy przy walnej pomocy także... ulicy. Trzeba więc i nadal utrzymywać z nią, z najciemniejszym motłochem, bliski kontakt, niczem go sobie nie zrażać.

I ta myśl asekuracyjna jest jednym z powodów, dlaczego ten obóz nie zrywa całkowicie z radykalizmem; dlaczego pielęgnuje stare hasła demagogiczne, ba, nawet hoduje specjalnie napół komunistyczne organizacje; dlaczego jest taki chwiejny i nie decyduje się na pewne posunięcia, zwłaszcza w dziedzinie socjalnej, których bezwzględnie domaga się interes Państwa, a w gruncie rzeczy, także własny interes obozu rządzącego.

I. SERD.

LUKI W PROCESIE

PROCES BRZESKI odsłonił bardzo wiele nieznanych stron życia polskiego. Wiele już o tem mówiono i pisano. Nie będziemy dodawali jeszcze jednego artykułu, ubierającego w inne słowa to, co już wszyscy znają na pamięć.

Nie będziemy również oceniali wyroku, zresztą nieostatecznego. Ale pragniemy poruszyć to, czego ani prokurator, ani obrona, ani świadkowie, ani oskarżeni nie mówili i przez dwa i pół miesiąca powiedzieć nie zdążyli. Pragniemy zająć się wymową tego milczenia, które pozornie zatopiła powódź krasomówstwa. My wszakże pamiętamy i przypominamy.

Panowie prokuratorzy zadali sobie wielki trud znalezienia poza frontem „centrolewu" ponurego cienia konspiracji, więcej nawet, cienia międzynarodowej agentury. Rozpatrywano sprawę II międzynarodówki, szukano skwapliwie nici, które wiążą PPS z Vanderveldem, z kasą w Amsterdamie, aczkolwiek była to zależność jawna, przez nikogo nie ukrywana i obozowi „sanacji" znana dokładnie chociażby za pośrednictwem pp.: Moraczewskiego, Jaworowskiego, Klemensiewicza, a może i innych, jeszcze wyżej postawionych figur. To, co było chwalebne w 1905, 1918, nawet w 1928 roku, stało się karalne dopiero w 1930. Oczywiście, w oczach „Gazety Polskiej". Dla nas bowiem było to zawsze ciężkie przestępstwo, obciążające wszystkich bez wyjątku, którzy kiedykolwiek byli we władzach PPS. i na zależność, zwłaszcza finansową, od międzynarodówki się godzili.

Ciekawsze jednak od tego usilnego wyważania otwartych drzwi amsterdamskich jest przeoczenie przez pp podprokuratorów, że istnieje jeszcze inna międzynarodówka, może o wiele spójniejsza, silniejsza, a z pewnością bardziej nielegalna. Jej agentura na Polskę nie jest zapewne rejestrowana w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, statut nie jest zatwierdzony, a protokułów walnych zebrań nie przesyła się do właściwych władz administracyjnych, tak czułych na kwestję legalności chociażby Naczelnego Komitetu Akademickiego. Myślimy tu oczywiście o masonerji.

A przecież pp. prokuratorzy mieli tak wdzięczne pole do popisu. Jako entuzjastyczni wyznawcy ideologji majowej czytują napewno „Gazetę Polską", czytywali przedtem „Głos Prawdy" i oczywiście pamiętają opis pogrzebu artysty-malarza M. Winiarza, którego imieniem Wielkiej Loży Polskiej żegnał jej Wielki Mistrz, Tadeusz Gałecki, znany bardziej pod literackim pseudonimem Andrzeja Struga. Prawda, że dzisiaj p. Strug nie jest już Wielkim Mistrzem, oddał to stanowisko swemu „bratu lożowemu", prof. Uniwersytetu Warszawskiego i członkowi sanacyjnego „Zrębu", p. Mazurkiewiczowi, tem niemniej obowiązkiem prokuratora było zapytać b. mistrza o jego konspiracyjną organizację, gdyż na tej właśnie drodze mógł znaleść działanie obcej agentury. Przecież centralna siedziba masonerji światowej nie jest nikomu znana, może się mieści przy rue Cadet w Paryżu, może w New-Yorku, może w Londynie, w Berlinie... ale z pewnością nie w Polsce. Czemuż nie pomyśleli o tem pp. Grabowski i Rauze? Czemuż nie szukali tu właśnie spisku, rewolucji, zamachu, choć znają historję, znają wielką rewolucję francuską i jej ukryte sprężyny, wiedzą, kto był autorem rewolucji lipcowej, lutowej, spisku Dekabrystów, 1848 roku, obalenia Mikołaja II w Rosji, Habsburgów na Węgrzech, Alfonsa XIII w Hiszpanji?

Czemu czujne oko urzędu prokuratorskiego oślepło, gdy nań skierował reflektor wymowy „brat" Strug, ponoszący, jak sam mówi, odpowiedzialność za kongres krakowski? Czem zahypnotyzował ich, niczem wąż boa gazellę, autor „niemal rewolucyjnej proklamacji", jak głosił akt oskarżenia? Czem ich tak ujął, że mówili o nim — nawet później — z pochyleniem głowy? Jakiemi czarami sprawił, że nie zadali mu ani jednego pytania przez cały długi czas zeznań, oni, którzy tak dzielnie zbijali z tropu innych świadków odwodowych? Stanowczo, prokuratorzy nie spełnili w dostatecznej mierze swojego zadania.

A teraz z czem przyszedł na rozprawę mistrz Strug? Z powodzi liryzmu wyłowić można zaledwie kilka konkretnych danych. Dowiedzieliśmy się tedy, że był on zwolennikiem bardziej stanowczego działania ze strony partji, jednakże do ostrego artykułu „Dopełniły się czasy, przepełniła się miara" został właściwie zmuszony przez redakcję „Robotnika", gdyż p. „Były" ma wstręt do publicystyki, a już szczególnie do proklamacyj rewolucyjnych. Usłyszeliśmy również, że świadek nie chciał nigdy znieważać Prezydenta, natomiast lubi mówić prawdę, zwłaszcza o ile ją już przedtem powiedział Limanowski. Wreszcie — i na to pragniemy zwrócić szczególną uwagę — złożył „brat" Strug dwie deklaracje, które przytaczamy dosłownie:

„...nie mogłem być obojętny w stosunku do tego, co się dzieje w Polsce; obojętność byłaby taką samą zbrodnią, jak milczenie w epoce caratu" („Robotnik" 3.XII.31).

A nieco dalej:

„...Mógłbym powiedzieć wiele rzeczy, bo wszak wielu z tych, którzy stoją w szeregach obozu rządzącego, to moi dawni przyjaciele, dawni towarzysze broni. Nie chcę dzisiaj wyciągać na tej sali wielu rzeczy...“

Zastanówmy się nad tem. Pan Strug mógłby powiedzieć wiele, ale nie chce. Woli milczeć. Dlaczego?

Przecież na ławie oskarżonych zasiadali przywódcy partji, której p. Strug jest „karnym członkiem“, co dwukrotnie z naciskiem podkreślał. Przecież rzucenie na szale sprawiedliwości nowych faktów, argumentów, dokumentów mogłoby spowodować inny wyrok sądu. Czy p. Strug, czytając wyrok, pomyślał o tem, że może to on własnoręcznie zatrzasnął drzwi więzenia za Libermanem, Barlickim, Pragierem? Bo jedno z dwojga: albo siwowłosy „mistrz“ nic nie wiedział, a całe jego przemówienie było tylko dramatycznym gestem, kabotyńskiem rozdarciem szat, frazesem malowniczym i pustym, albo też wiedział, a w takim razie milczenie to było przestępstwem wobec oskarżonych i wobec sprawy, której rzecznikiem się mieni.

Więc jakto? Siedzą na ławie więźniowie brzescy, ludzie osiwiali w walce o socjalizm, a partja, której Strug jest karnym członkiem uważa, za rzecz bardziej pilną, niżich rzetelną obronę, dbanie o „dawnych przyjaciół“ Andrzeja Struga, chociaż ci przyjaciele zerwali „wszelkie ostatnie nici z demokracją“?

Czyżby p. Strug i inni świadkowie odwodowi, zrażeni przykrym wypadkiem p. Haeckera, woleli nie podnosić więcej pokrywy naczynia, w którem lat tyle „przyjaciele“ i „bracia“ wytwarzali wspólne idee i myśli? Czyżby obawiał się, że buchnie stamtąd zapach moralny, którego próba powiała na Polskę przy konfrontacji „byłych przyjaciół“, godnej trójcy Dziadosza, Haeckera i Żuławskiego? Lecz cóż tedy znaczą kwieciste słowa w zeznaniach: „Gdy ktoś odebrać chce obywatelom ich prawa, trzeba protestować, należy protestować. Jeśliby zabrakło protestu, byłoby to dowodem upadku straszliwego“? O cóż się proces toczył? Prokuratorzy żądali odebrania praw do wolności obywatelom: Libermanowi, Pragierowi, Barlickiemu, Mastkowi, Dubois, Ciołkoszowi i innym. Trybunał rozsądzić miał, czy to żądanie jest słuszne. Jakżeż miał to uczynić, jeśli nie dano mu wszystkich potrzebnych materjałów?

Dziwne się może wyda ludziom z „centrolewu“, że tak się kłopocą o Libermana i Pragiera przedstawiciele młodego pokolenia, jeszcze gorącego od walk z żydami na uczelniach. Nie będziemy tu nic skrywali. Nam proces brzeski nie zasłonił świata. Tak samo, jak kiedyś, tak teraz i zawsze będziemy się domagali i czynem realizowali, by z życia politycznego polskiego ustąpił i Liberman i Pragier razem z pp. Jaegerem, Sokalem, Wiślickim, Frydmanem-Krzemińskim, Lubodzieckim itd. Muszą się w cień usunąć, choćby mieli za sobą nawet takie karty, jak Marmarosz Szigeth czy Brześć. Ale tu, w brzeskim procesie chodziło nietylko o skrzywdzoną jednostkę. Tu wchodzą w grę zasady moralne i prawne, honor sądu, poczucie prawa w społeczeństwie. Nie jesteśmy wyznawcami ideologji „praw człowieka i obywatela“, poczucie ładu moralnego wymaga jednak gwarancji pewnych praw dla członków społeczeństwa. Jednem z podstawowych jest prawo podsądnych do tego, aby świadkowie obrony mówili prawdę, tylko prawdę i całą prawdę.

JAN MOSDORF

BŁĘDY NASZEJ PROPAGANDY

PROPAGANDA, rozwijana przez Niemcy przeciwko Polsce, z wyraźnym celem urobienia opinji zagranicznej na korzyść niemieckiego dążenia do rewizji traktatów, a zwłaszcza rewizji granic polsko-niemieckich, wydaje od jakiegoś czasu owoce, około których nie można przejść obojętnie. Odnosi ona nawet sukcesy w zaprzyjaźnionej z nami Francji. Pojawiały się przecież artykuły niektórych publicystów francuskich, w których zaznaczało się dążenie do kompromisów, a w każdym razie nie zdawanie sobie sprawy, iż rzecz ta w Polsce nigdy nie będzie podlegała dyskusji. Niektóre zaś organy prasy francuskiej otwierają swoje łamy publicystom niemieckim — dość wspomnieć znanego Arnolda Rechberga — którzy znajdują w ten sposób drogę do bezpośredniego przemawiania do opinji francuskiej.

Stwierdzono już z rozmaitej strony, że temu wszystkiemu nie dość skutecznie przeciwstawia się propaganda polska. Popełnia ona rozmaite błędy i zaniedbania, na jedną stronę tego zagadnienia nie zwrócono jednak zupełnie uwagi.

Przypatrzmy się bowiem, jak Niemcy robią swoją propagandę zagranicą? Otóż poza jej urzędową stroną, poza propagandą, robioną przez oficjalną polityką niemiecką, poza działaniem osób urzędowych, ambasady niemieckiej, istnieje propaganda, uprawiana na wielką skalę przez osoby prywatne, przez publicystów, przedstawicieli gospodarki, profesorów, naukowców, polityków, posłów itd. W Paryżu i innych stolicach świata roi się od odczytów i przemówień, wygłaszanych przez Niemców. Przyjeżdżają do Paryża i gdzieindziej nietylko tak zwani „międzynarodowi“ lewicowcy. Rozmowy toczą się na wszystkich możliwych platformach, i między rozmaitemi odłamami. Nie tak dawno temu prasa donosiła o pobycie w Paryżu niemieckich prawicowców. W tych dniach przemawiał tam nawet przedstawiciel Hitlera. Pamiętamy przemówienia, które wygłaszał znany z wystąpień antypolskich przywódca Zakonu Młodoniemieckiego, Abel. Mówiąc dobrze po francusku, wygłosił on je—jak piszącemu te słowa opowiadał jeden z francuskich słuchaczy — z niezwykłym tupetem i śmiałością, nie kryjąc zgoła tez i zamierzeń niemieckich. I zrobił wrażenie. Co jakiś czas wybierają się zagranicę wybitni niemieccy publicyści (przypomnijmy np. rozmowę Theodora Wolffa z Mussolinim w Rzymie i jego pytanie o „korytarz“), bez względu na to, że prasa niemiecka reprezentowana jest stale zagranicą przez korespondentów wybitnych i mających dobre stosunki. Uszy zagranicy obstawione są nietylko od urzędowej strony, ale ze wszystkich stron niemieckiemi tubami. Działają również bardzo konsekwentnie przedstawiciele gospodarki niemieckiej, co np. we Fran-

cji, przy rozwijającej się wymianie handlowej niemiecko-francuskiej nie jest bez znaczenia. I tą właśnie drogą, drogą nieoficjalnego oddziaływania, drogą bezpośredniego stykania się Niemców z Francuzami i przedstawicielami innych narodowości, przenika więcej niemieckiej propagandy, niż drogą urzędową, wobec której opinja jest zawsze i wszędzie zgóry nastrojona nieufnie. Taką samą propagandę, jak w Paryżu, uprawiają Niemcy w Londynie, Rzymie i Ameryce. Wymieńmy tylko dla przykładu podróż amerykańską Schachta, już jako prywatnego człowieka. Niedawno bawił w Ameryce znany przemysłowiec Fritz Thyssen i w licznych rozmowach i wykładach „uświadamiał“ odpowiednio przedstawicieli gospodarki amerykańskiej.

Z polskiej strony tego właśnie stykania się osób prywatnych, a mających znaczenie w swoim kraju, i propagandy nieurzędowej, jest stanowczo za mało, a właściwie niema jej prawie wcale, z wyjątkiem pewnych zaczątków na polu naukowem. Być może, nie mamy tylu ludzi, co Niemcy, mogących aktywnie działać zagranicą. Być może kultura polityczna nie jest jeszcze u nas dość wysoka, ażeby ten i ów, zamiast (z chwilą, gdy się znajdzie zagranicą) reprezentować interesy tylko polskie, nie zbaczał na tory ciaśniejsze wewnętrznego podwórka. Przestrzec należy także wyraźnie przeciwko braniu się do „propagandy“ ludzi niepowołanych, „spacerowiczów“, którzy pleść będą głupstwa nieopisane, co się już nieraz zdarzało. Oprócz tego rodzaju typów jest jednak dosyć dużo Polaków, którzy mieliby dostateczny tytuł do wystąpienia czy to z racji stanowiska, które zajmują, albo zajmowali, czy zdolności, które wykazali, dzięki czemu ich wystąpienia byłyby poważne i mogłyby przynosić korzyść. Nie umniejszamy przytem zgoła zasług tych niewielu jednostek, które tu i tam, dla zaznaczenia polskiego stanowiska, a odparcia wrogiego, niejedno zrobiły, ale które to czynią już prawie zawodowo i urzędowo. Brak natomiast kontaktu dostatecznie częstego publicystów poważnych, polityków i przedstawicieli gospodarki z odnośnemi kołami zagranicą. Co możemy np. przeciwstawić fali odczytów, rozmów i zetknięć najrozmaitszych wybitnych przedstawicieli narodu niemieckiego z przedstawicielami narodów: francuskiego, angielskiego i amerykańskiego? Niewątpliwie bardzo niewiele. W Niemczech są ludzie bardzo wpływowi, którzy nie wahają się urządzać jako osoby prywatne, chociaż zapewne nieraz w porozumieniu z niemieckim urzędem dla spraw zagranicznych, poprostu wypraw propagandowych zagranicę.

Byłoby dobrze, żeby i u nas o tem więcej myślano, i żeby nie uważano, że urzędowa propaganda wystarczy. Propaganda urzędowa, aczkolwiek potrzebna i konieczna, pewnych rzeczy zrobić nie będzie mogła i do niektórych kół nie dotrze. A przecież są Polacy, którzy mogliby mieć, gdyby chcieli, duże stosunki zagranicą, i mogliby je wyzyskiwać metodycznie i celowo dla obrony interesów polskich i paraliżowania propagandy wrogiej. Pole jest wielkie i wdzięczne.

JERZY DROBNIK

SIENKIEWICZ W NOWEJ POLSCE

KIEDY w r. 1879 w Krakowie urządzono Kraszewskiemu jubileusz, który ku zadziwieniu samychże organizatorów przemienił się w imponującą uroczystość narodową, C. Norwid w rozmowie z przyjacielem zastanawiał się nad przyczyną i naturą tego wydarzenia[1]). Wyraził się on wówczas, że jubileusz ów był tylko okazją do wyładowania pewnego kompleksu energji uczuciowej narodu, wezbranej już do *maximum*, i że był pewnego rodzaju psychiczną koniecznością. Strzelba była nabita, — mówił, — i musiała wypalić.

Rzeczywiście, istnieją takie rocznice, które są psychiczną koniecznością, które się stają okazją do żywiołowego wybuchu wezbranej uczuciowości ogółu, momenty szczególniejszego podniesienia, które jak prąd elektryczny przebiega i spaja kontaktujące dusze masy narodowej. Z obchodów rocznicowych tego pokroju, takich, które w naszych dziejach wewnętrznych zdobyły sobie miejsce jakby wyznaczników, określających nastawienie duchowe zbiorowości, z uroczystości, które się stały w pełnem znaczeniu świętami narodowemi, przypomnieć tu można obchód grunwaldzki w Krakowie 1910 r., czy—niedaleko sięgając—zeszłoroczny zjazd naukowy im. Kochanowskiego.

Dzisiaj, w 15 rocznicę zgonu H. Sienkiewicza, pisarza, który prozę polską postawił na skale Kalijopy na takiej wyżynie, na jakiej tam nie było dotąd śladu polskiej stopy, wielkiego Polaka, który u schyłku lat niewoli długo był widomym namiestnikiem naszej wolności, mimo wszystko niezłomnej, dzisiaj nasuwać się może pytanie, czy są dane, by obchód sienkiewiczowski mógł się przerodzić w żywiołową manifestację wdzięczności narodowej, słowem, czy jest on, czy może się stać psychiczną koniecznością.

Dla człowieka, biorącego rzecz po wierzchu, sądzącego według zewnętrznych pozorów, pytanie takie, tak obcesowo postawione, wyda się może niepotrzebne, a w dniu takim, jak dzisiejszy, może nawet kłopotliwe i niestosowne. Odpowiedź bowiem takiego z pozorów sądzącego obserwatora będzie zapewne jedna tylko i niewątpliwa, — że nie. Bez wahania gotów on stwierdzić, że dzisiaj, w dobie panującego aktualnie smaku literackiego, gwiazda Sienkiewicza zmierzchła, że rola tego organizatora duszy zbiorowej polskiej lat ubiegłych jest już spełniona, skończona.

Jakoż, prawdę mówiąc, nie można zaprzeczyć, że pozory zewnętrzne, bardzo wyraźne, niejako materjalne, zdają się popierać tego rodzaju sceptyczne stanowisko. Bo istotnie. Przebiegło lat 15 od śmierci pisarza, który wszak też był „kochaniem wieku“, bieg pracy naukowej i literackiej po wojnie wszedł jako-tako na normalny tor, a przecież w historji literackiej naszej nic jeszcze nie słychać o monografji, jaka się przynależy wielkiemu twórcy. Żebyż to jedno tylko zaniedbanie! Gorzej jest, że brak nam wydania zbiorowego pism Sienkiewicza, brak też ludowego wydania wybranych utworów w opracowaniu, udostępniającem ich lekturę szerokim masom; ostatnie t. zw. tanie

[1]) Przemówienie na uroczystej Akademji w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, w piętnastą rocznicę śmierci H. Sienkiewicza.

wydanie Trylogji, krojem czcionek, haniebną lichotą papieru, może służyć za żałosny przykład produkcji wydawniczej wojennej, ale trudno mu być pośrednikiem w obcowaniu narodu z arcydziełem. Wszystko to prawda. Prawdą jest również ta „porządna niedbałość nasza", która do takiego stanu rzeczy dopuściła.

Niemniej jednak myliłby się, ktoby z tego stanu rzeczy wyciągał wniosek o gasnącej jakoby aktualności dzieła Sienkiewicza, ktoby mówił o zmierzchu jego roli artystycznej, ale i społecznej, w nowej Polsce. Myliłby się do gruntu. Wolno twierdzić i wolno się upierać przy niemylności tego twierdzenia, że w zaznaczonym dopiero co stanie rzeczy mamy do czynienia z wyraźnym przykładem dysharmonji między górą narodu a dołem, między nadającą ton elitą umysłową a masą, między pewnym odłamem inteligencji a ludem. Niedbałej milkliwości dzisiejszej krytyki literackiej w stosunku do Sienkiewicza przeciwstawia się od dołu niesłabnąca poczytność jego dzieł. Zupełnie niedawno, zbadawszy ruch książek w jednej z wypożyczalni krakowskich, stwierdzono statystycznie, że z polskich powieściopisarzy Sienkiewicz, obok Żeromskiego, należy do najbardziej czytanych autorów. Ale ostatecznie nie przeceniajmy tego wypadku. Większej wagi byłyby fakty zaczerpnięte z innego niż miejskie środowiska. Nie będę tutaj sięgał do wspomnień i opowiadał, czem były książki Sienkiewicza w tajnej pracy nad podtrzymaniem ducha polskiego na Śląsku Górnym przed wojną; mogłoby to być wzięte za śpiewkę przeszłości minionej. Powiem tylko, że np. na Wileńszczyźnie dzisiaj właśnie po zaściankach polskich, ale i po wsiach białoruskich Trylogja należy do najpożądańszych nabytków w czytelniach ludowych, najwięcej i najgorliwszych ściąga tam czytelników. A informacje o tem czerpię nie ze źródła, któreby komuś mogło się wydać stronne, więc np. nie ze sprawozdań Pol. Macierzy Szkolnej. Biorę je z informacyj pracowników TUR., t. zn. instytucji oświatowej, której krzewienie kultu Sienkiewicza doprawdy nie leży na linji programu ideowego i która tutaj, zaspokajając ów popyt, liczy się tylko z siłą rzeczy.

Jednakowoż mimo to wszystko, gdybyśmy na poparcie tezy o nieprzemijającej żywotności Sienkiewicza mieli za argument tylko ten wzgląd na poczytność jego powieści, przyznajmy, byłoby to stosunkowo jeszcze niewiele. Mówić na tej podstawie o akcie wdzięczności jako wypływie psychicznego musu byłoby dość ryzykowne. Jest wszelako wzgląd znacznie głębszy, daleko bardziej istotny, który nas uprawnia do twierdzenia, że dzieło Sienkiewicza stanowi dzisiaj, i to szczególniej dzisiaj, żywy współczynnik w formowaniu się struktury duchowej w Polsce odrodzonej, że jest potęgą dobroczynnie działającą.

Nie czas tutaj długo się na ten temat rozwodzić. Powiedzmy więc krótko tylko, że dzisiaj, kiedy masa ludu wiejskiego, t. zn. warstwa, która nie była dotąd odpowiedzialna za bieg dziejów Polski, weszła już w obręb tej odpowiedzialności, kiedy stała się równorzędną, a stać się może kierowniczą siłą naszego pochodu dziejowego, dzisiaj z całą powagą i z całą grozą stoi przed nami zagadnienie organiczności naszej kultury duchowej. Istota zagadnienia leży w konieczności związku między przeszłością, która jest już za nami, obarczona winą niejedną, ale i uskrzydlona wielkością, a między przyszłością, ciemną jeszcze i nieodgadnioną, ale niemniej która ani improwizacją, ani dziełem czyjegoś kaprysu być nie może. Krótko mówiąc, chodzi tu o to, czy Polska nowa w swym typie duchowym będzie dalszym ciągiem dawnej, czy będąc inną, będzie zarazem w gruncie rzeczy tą samą, czy też nie; czy więc, jeszcze wyraźniej mówiąc, Polska ludowa nadbudowywać się będzie na starym zrębie kultury staropolskiej, oczywiście szlacheckiej, wznoszonej przez wieki pod słońcem cywilizacji katolickiej i zachodnio-europejskiej, czy też odrzuci z gniewem tę szatę, tkaną przez przeszłość, mając ją tylko za „płachty ohydne" i tylko za „Dejaniry palącą koszulę".

Przez cały wiek XIX szatańska intryga wszystkich trzech zaborców wysilała się, żeby rozerwać trzon narodu, żeby rozkrzewić w Polsce świadomość, że warstwy ludowej z warstwą szlachecką nie wiąże nic prócz pamięci krzywdy i prócz żądzy odwetu, że ukrócicielami buty szlacheckiej, obrońcami ludu przed niewolą społeczną były dopiero dobroczynne rządy zaborcze. Widomym symbolem tej piekielnej intrygi był posąg cara-dobroczyńcy ludu na zboczu Jasnej Góry, a rok 1846 był jej potwornym plonem. Nie udało się dzieło szatańskie, choć nie mamy co taić, że realizacja jego posunięta była wcale daleko. Nie brak zresztą i dzisiaj sił ziemskich i podziemnych, któreby rade podeprzeć ramieniem to rozsypujące się w gruzy dzieło szatana dziejowego, któreby rade rozłupać, a przynajmniej zarysować monolit duchowego organizmu Polski.

Nie trzeba chyba dowodzić, że przeciwko tego rodzaju złowrogim zakusom autor Trylogji staje jako zapora przemożna i — zwycięska. Właśnie dzisiaj na tę wartość dzieła Sienkiewicza położyć trzeba nacisk jaknajdobitniejszy. Sienkiewicz najwalniej przyczynił się do tego, że takie rozerwanie wątku kultury, przesuwającego się z dawności przez dzisiejszość, może być już tylko urojeniem doktrynerskiem. Uroczną siłą wyobraźni i magiczną mocą słowa wywołał on z przeszłości i zaklął w widowisko zawsze żywe Polskę dawną, szlachecką, pokazał ją całą w jej szczytach i przepaściach, Polskę Radziwiłłów i Zagłobów, ambicji i błazeństwa, ale i tę drugą, Polskę heroiczną Skrzetuskich, Podbipiętów i Wołodyjowskich. Niema w Polsce oczu, któreby nie zaszły łzą nad kartami Trylogji, niema serca, któreby nie oddźwięknęło boleścią, ale i miłością dla tamtych spraw i czasów, właśnie, że najgłębiej naszych, najbardziej własnych, ojcowych.

Po promieniu tego spojrzenia Sienkiewicza nawiązuje się wciąż uczuciowy łącznik między dziś a między przedwczoraj; dzieła jego gruntują wśród nas mocną świadomość, że tamci i my, jedna to krew, jedna powinność, jeden, przez wieki płynący nurt życia zbiorowego. Mało kiedy tak żywo, jak nad kartami Sienkiewicza, czujemy się związani z przeszłością organicznie i nierozdzielnie, i w tem, co chlubą rozpiera pierś, ale i w tem, co pali rumieńcem wstydu i co musi być odkupione przez nas i przez pokolenia po nas idące.

A wszakże ta świadomość, obudzona i utrwalona w masie narodu, to najbardziej niezłomny fundament organiczności naszego rozwoju kulturalnego, zakład nieprzerwalności naszego powołania dziejowego, przekazywanego przez przeszłość wie-

kom przyszłym. Dopiero na tym fundamencie stojąc, każdy z nas może — w myśl testamentu Mickiewicza — uczuć się „synem swego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej", dopiero wtedy możemy, „cokolwiek w historji było świętego, prawdziwego i wielkiego", mieć w sobie „jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siłę".

Niech wolno będzie uczynić jeszcze jedną uwagę. W czem jest sekret, że chłop polski, nawet białoruski, nawet wtedy, gdy identyfikawał Polskę z pańszczyzną, gdy jątrzony nienawiścią stanową, wzbierał złą pasją na dziedzica-obszarnika, że nawet wtedy z chęcią brał w rękę tomy Trylogji, a wczytawszy się w nie, aprobował uczuciowo ów wyłaniający się tam z poza słów świat szlachecki? Dlaczego? Sądzę, że i na to odpowiedź możnaby znaleźć u Mickiewicza. Podobne pytanie stawiał on sobie, zastanawiając się w *Collége de France* nad drogami rozwojowemi Polski dawnej i nowej. Kiedy, — pytał on, — występuje u nas nienawiść stanowa i dlaczego to chłop polski rozgorzał nienawiścią do szlachty? I oto jak sobie te sprawy tłumaczył:

„Powszechnie mówią o nędzy ludu w wielu okolicach Polski, malują żywemi kolorami biedę tamecznego chłopa, który żyjąc w lichej chałupie, częstokroć doświadczając głodu, wystawiony jest jeszcze na razy batoga. Skądże to jednak pochodzi, że do czasów upadku Polski w pieśniach gminnych tego ludu nie słychać żadnej skargi? Czemu ten chłop pierwej nie żalił się nigdy na ucisk, głód, batog? Oto, że dopiero kiedy zabraknie siły moralnej, człowiek zaczyna czuć cierpienie fizyczne. Dopóki chłop polski widział szlachcica wszędzie obok siebie, przy gospodarce, na polowaniu, na wojnie, dopóki rozumiał potrzebę jego wydatków na posługę publiczną, na konie, na oręż, póty bez szemrania pozwalał mu sprzedawać plon swej pracy, miał siłę znieść niedostek. Ale kiedy ten szlachcic przestał zaglądać do chaty chłopa, kiedy otoczył się towarzystwem cudzoziemskiem, za zboże włościańskie sprowadzał z zagranicy pojazdy, stroje, sprzęty, których użytku chłop nie mógł pojąć, wtenczas nędza jego stała mu się gorzka".

Otóż wolno przyjąć, że i Sienkiewicz zasługę swą, którą się tu dzisiaj podniosło, zawdzięcza tej właśnie genjalnej swej intuicji, która mu kazała przedstawić Polskę dawną, szlachecką właśnie w posłudze publicznej, właśnie na koniu i przy orężu, w aureoli siły moralnej, która, jak lampa przed zgaśnięciem, wybłysnęła naówczas u schyłku roli dziejowej tej warstwy narodu.

W temperaturze tak wysokiego entuzjazmu ofiary zrastają się zawsze dusze polskie w jednolity masyw woli, czy to pod Jasną Górą, czy pod Radzyminem. Polska Trylogji, Polska wychodząca cało, li przez wysiłek własnego męstwa, z potopu najazdu, ma i mieć będzie urok nieodparty, jarzmiący serca niejednej jeszcze generacji, która wchodzić będzie w krąg poczucia odpowiedzialności za naród w nowej Polsce.

Otóż ten to Sienkiewicz, współpracownik, jeden z najprzedniejszych, w dziele konsolidowania plemienia polskiego w jednolity blok narodu, obrońca organicznej ciągłości kultury duchowej polskiej i uczuciowości patrjotycznej w masach jak najszerszych, — jest żywy ciągle pośród nas, robotnik nie zluzowany przy swojem dziele, jeszcze nie skończonem. Gdy się ono zakończy, dopiero gdy i ta zasługa dopełni się cała, wtedy przyjdzie także czas na obchód sienkiewiczowski, który będzie psychiczną koniecznością narodu, świętem dziękczynienia.

STANISŁAW PIGOŃ

EDWARD WOYNIŁŁOWICZ

POKOLENIE, które weszło w życie publiczne po wojnie, trzeba już informować, kim był Edward Woyniłłowicz, trzeba przypominać, że był to jeden z najwybitniejszych Polaków na kresach wschodnich na przełomie wieków XIX i XX-go.

Urodził się w rodzinie, która blisko trzy stulecia trzymała się na ojcowiznie. W r. 1874 objął po ojcu zarząd majątków rodzinnych Sawicze i Puzów w Mińszczyźnie. Dobrze gospodarował na ziemi własnej, a jednocześnie stał się duszą pracy społecznej. Przez 35 lat był sędzią honorowym powiatu Słuckiego, członkiem Ziemstwa, po r. 1905 członkiem Rady Państwa z wyboru. Głównym wszakże terenem jego działalności było Mińskie Towarzystwo Rolnicze, do którego wszedł w r. 1876 i którego potem przez długie lata był przewodniczącym. Z czysto biurokratycznej w założeniu instytucji potrafił zrobić ciało zbiorowe, które odegrało wybitną rolę nietylko w dziedzinie spraw rolniczych, lecz także w całem życiu ludności polskiej na kresach wschodnich. Wypędziły go z siedziby rodzinnej wypadki wojenne w latach 1918 i 1920, ostatecznie zaś znalazły się majątki jego poza granicą polską. Ostatnie lata swego życia spędził w Warszawie i w Bydgoszczy.

*

Przyjaciele zmarłego z pośród ziemiaństwa kresowego zajęli się wydaniem jago pamiętników.[1]) Do grudnia r. 1918 są to napisane przez Woyniłłowicza wspomnienia, od tego czasu zaś do kwietnia 1921 roku codzienne jego zapiski.

Najciekawszym i najlepiej charakteryzującym człowieka jest okres jego działalności przedwojennej — na miejscu w Mińszczyźnie i w ciałach prawodawczych, w Petersburgu. Rzeczy nieznanych tam nie znajdziemy, lecz mamy możność zapoznania się z rozwojem pracy obywatelskiej w warunkach niezmiernie trudnych, gdy nad życiem polskiem na kresach ciążyła zmora panowania rosyjskiego. Kraj ten był uważany za czysto rosyjski, język polski był usunięty zewsząd, żadnej możności życia i działalności zbiorowej. Trzeba było więc ludzi silnie wierzących w Polskę, wytrwałych, po prostu zawziętych, ażeby w tych warunkach rąk nie opuścić. Taka wiara, wytrwałość i zawziętość bije ze wspomnień Woyniłłowicza. Ze spokojem

[1]) Edward Woyniłłowicz. Wspomnienia 1847 — 1928. Część pierwsza. Wilno. 1931 r. Wydał, wstępem i przypisami opatrzył Janusz Iwaszkiewicz.

opisuje on te wszystkie prace i zabiegi, na pozór drobne i skromne, a jednak decydujące dla utrzymania stanu posiadania polskiego na kresach.

Wyjazd do Petersburga w charakterze członka Rady Państwa w przełomowym dla Rosji okresie rewolucyjnym wysuwa go na szerszą arenę działalności. Sytuacja nie była łatwa, spotkali się tam przedstawiciele Polaków kresowych nietylko z rządem i społeczeństwem rosyjskiem, lecz także z reprezentantami Królestwa Polskiego, z którymi wiele mieli wspólnego, lecz od których także znacznie się różnili swemi poglądami społecznemi i politycznemi. Łatwiej jeszcze było ułożyć stosunki z tymi ziemianami polskimi, którzy przyjechali do Petersburga w charakterze członków Rady Państwa i należeli do Stronnictwa Realistów (ugodowego). O wiele trudniej szło współżycie z posłami do Dumy, którzy w ogromnej większości należeli do Demokracji Narodowej, inaczej się zapatrywali na stosunek do rządu i państwa rosyjskiego i na zagadnienia społeczne i gospodarcze. Pisze o tem wielokrotnie w swych „Wspomnieniach" — Woyniłłowicz, nie ukrywa różnic i konfliktów, potrafi jednak zawsze oddzielić stosunek do osób i sąd o ludziach od rzeczy samej. Charakterystyczną pod tym względem jest jego opinja o Dmowskim, o którym pisze (str. 151): „Już podczas wojny obecnej zaszedł do mnie w hotelu Europejskim Roman Dmowski, z którym, na zebraniach koła, jako z przewódcą partji endeckiej, w Piotrogrodzie nieraz kopje kruszyłem, ale zawsze jego wielkie zdolności i wyrobienie polityczne, tudzież poszanowanie zdania przeciwnika, wielce ceniłem".

Opinja powyższa jest tem bardziej znamienna, że nietylko poglądy polityczne i społeczne Woyniłłowicza różniły się bardzo od poglądów obozu demokratyczno-narodowego, lecz — że jego tragedję osobistą stanowiło zwycięstwo programu terytorjalnego, nakreślonego przez R. Dmowskiego, co doprowadziło do pozostawienia części ziem białoruskich, a wraz z nią rodzinnych majątków Woyniłłowicza przy Rosji.

*

Warunki tak się złożyły, że uczuciem panującem w sercach ziemian polskich na kresach wschodnich było przywiązanie do siedzib rodzinnych. Dzięki temu, mimo wypadków lat 1863 i 1864 i ich opłakanego następstwa — wyrzucenia całego szeregu rodzin z ich majątków rodzinnych, utrzymały się znaczne obszary na kresach w rękach polskich. W ponurym okresie czasu między powstaniem a wielką wojną utrzymanie się przy ziemi było pierwszem i głównem przykazaniem Polaków w „guberniach południowo-zachodnich". To uczucie miłości do ojcowizny było sprężyną, poruszającą całe życie Woyniłłowicza, łączyło się u niego nierozerwalnie z patrjotyzmem polskim, nadawało mu ton i zabarwienie. Uważał się on za związanego z ludem białoruskim, lubił dowodzić, że — jak wskazuje samo nazwisko — z ludu tego pochodzi. Mówił o sobie, jako o „krajowcu", jako o człowieku „tutejszym". W one czasu dziwiło to „Królewiaków", dziś można o tem wydać sąd spokojny — takie ujmowanie sprawy wiązało go jeszcze bardziej z ziemią, dawało głębszy sens jego działalności społecznej, usprawiedliwiało dążenie do uważania ściślejszej ojczyzny za cześć wielkiej ojczyzny — Polski. Czytelnik szczerych i prostych zwierzeń Woyniłłowicza, zawartych w jego „Wspomnieniach" nie może mieć ani cienia wątpliwości, iż był on Polakiem, związanym silnie z przeszłością i z życiem mu współczesnem swego narodu.

Trzeba jednak wczuć się dobrze w pobudki, rządzące życiem tego Polaka kresowego, zrozumie, warunki, w których żył on i całe ziemiaństwo kresowe, by sobie zdać sprawę z istotnej, głębokiej tragedji osobistej, jaką przeżył na skutek wyniku wojny i przeprowadzenia granic Polski odbudowanej.

Wszak zamknął on całe swe życie w pracy dla tego „Kraju", dla tej prowincji polskiej, w której od lat trzystu ród jego mieszkał. Ograniczył i zwęził dobrowolnie zakres swej działalności... I ten kraj właśnie, dla którego życie całe poświęcił, został przepołowiony, a zagony, potem jego i jego przodków przesiąknięte, przeszły pod władzę obcą. Zapewne, wiele tragedyj przeżyli synowie Polski, wiele musieli złożyć ofiar, wiele przecierpieć, naskutek składu okoliczności i błędów politycznych, popełnionych w ciągu dziejów, lecz nie ujmuje to patosu tragedji osobistej Woyniłłowicza, będącej cząścią tragicznych przeżyć całego odłamu narodu polskiego. Czyż można się dziwić, że w zapiskach lat ostatnich, gdy mowa o pokoju ryskim, cisną się słowa gorzkiej skargi pod pióro Woyniłłowicza? Trzeba przecież zrozumieć sens, jaki dla piszącego miały te proste słowa: „7-go lipca 1920 roku o godzinie $8^1/_2$ wieczorem ojczyce tej ziemi po 350-ciu latach w Sawiczach, tak ukochanych, tak wspomnieniami tylu pokoleń otoczonych, opuścili ziemię ojczystą, z wewnętrznem jednak poczuciem spłaconego obowiązku względem dziedzictwa swojego". Tak mówi Woyniłłowicz o swym ostatecznym wyjeździe z Sawicz.

Inaczej, niż pamiętnikarz, sądzimy rozstrygnięcie terytoralne na wschodzie. Było ono koniecznością dziejową; nie możemy jednak nie współczuć bólowi, przewijającemu się jak nić, przez jego „Wspomnienia".

*

Widziałem Woyniłłowicza w różnych okresach. Ostatni raz w czasie wojny, na zebraniu w Mińsku. Było w jego postaci coś nakazującego szacunek i pociągającego. Przeczytanie „Wspomnień" utrwaliło ostatecznie w moim umyśle przeświadczenie, że należał on do tego samego typu umysłowego, co ludzie tacy, jak Lubecki lub Wielopolski. Panującym u tych ludzi instynktem, był instynkt państwowy. Byli oni skłóceni ze współczesnymi, bo patrzyli na życie realnie, pragnęli twórczości istotnej i trwałej, byli przciwnikami zdecydowanymi romantyzmu politycznego, panającego w sercach i umysłach inteligencji polskiej wieku XIX-go.

Dlatego dziś, gdy w młodszem pokoleniu ujawnia się coraz silniej reakcja przeciwko temu romantyzmowi, gdy nawiązują się silniejsze związki między myślącym realistycznie chłopem polskim, oraz temi okresami historji Polski niepodległej, w których dominowała myśl państwowa, dziś powtarzamy — należy się rehabilitacja tym Polakom XIX-go wieku, którzy mieli w sobie instynkty „mężów stanu", a więc ludzi, dla których celem najwyższym jest twórczość państwowa, organizowanie w ramach państwowych życia narodu.

STANISŁAW KOZICKI

NA WIDOWNI

Człowiek i fortepian. — Dramaty cywilizacji. — Ideał sięga bruku. — Dom Baltów i Kaczy Targ. — Demon materjalizmu, użycia i obłudy. — Walka anioła z szatanem. — Wiara w zwycięstwo.

ZASTANAWIANO się nad tem, kto jest bohaterem nowej komedji Jerzego Szaniawskiego, wystawionej teraz w teatrze Narodowym. Autor przecież wyraźnie napisał na afiszu: fortepian.

Dusza Szaniawskiego jest poszerzona wczuciem się w człowieka, jako zjawisko socjologiczne. Dla niego dramat życia nie całkowicie się zlewa z dramatem jednostki, jest czemś szerszem. Żyje bowiem ponad człowiekiem jego twór historyczny, w którym człowiek jest tylko komórką: żyje cywilizacja. Ma ona swoje prawa narodzin, rozwoju i upadku, stałe przypływy i odpływy sił, przeboje i dramatyczne załamania.

Dla człowieka, który ma wiarę w twórcze (idealistyczne) pierwiastki cywilizacji, owe załamania dramatyczne są epizodami przejściowemi. Duch w rezultacie, na dłuższą metę dziejową, musi przezwyciężyć materję, zło musi ustąpić dobru, użycie — życiu, skończoność — nieskończoności. Dlatego myśliciel idealistyczny na dramaty dziejowych przełomów może patrzeć z optymizmem, a jeśli myśl swoją zapragnie wyrazić w formie dramatycznej, może jej dać charakter komedji, wyrazić to na afiszu, a komedję zakończyć apoteozą. Zwłaszcza gdy mu chodzi o to, aby współcześni nie poddali się złu, żeby wierzyli w moc ducha, żeby nie zarażali powietrza małością i zaprzaństwem, wtedy zakończy apoteozą. Jest to potrzebne jego duszy, jest to jego poezją.

Poezja jest zarodem twórczości dramatycznej Szaniawskiego. W żywym organizmie cywilizacji widzi ten humanista dwie borykające się z sobą siły: budowy i rozkładu. Walczą one z sobą, jak światło z ciemnością, dobro ze złem, życie ze śmiercią. Całości dramatu życia nie wyczerpuje jednostka, przebywają go i rzeczy przez człowieka tworzone. Można je traktować jako symbole poetyckie. Więc np. fortepian. Na ten instrument złożyć się musiały i długa kultura muzyczna, i przemysł, i szkoła, i człowiek, który ukochał sztukę. Fortepian — symbol twórczości, symbol owych prac ludzkich, które według Norwida tworzą harmonijną budowę ze sztandarem sztuki na szczycie.

Fortepian dzieli z człowiekiem losy, jest wykładnikiem jego pracy, tęsknot i upadków. Fortepian miewa swoje tragedje nawet polityczne. Pamiętacie ów fortepian Szopena, wyrzucony na bruk z kamienicy Zamoyskich:

Ten, co Polskę głosił od zenitu,
Wszechdoskonałości dziejów
Wziętą, hymnem zachwytu —
Polskę przemienionych kołodziejów,
Ten sam — runął — na bruki z granitu.
I oto, jak zacna myśl człowieka,
Poterany jest gniewami ludzi!..

„Ideał — sięgnął bruku“ — tak kończy Norwid.

To była katastrofa indywidualna fortepianu. Szaniawski w naszych czasach widzi kryzys fortepianu bardzo kombinowany, bo wewnętrzny (cywilizacyjny), który również doprowadza do tego, że „ideał sięga bruku“.

Był dom, nadbudowany nad fortepianiem siłą społeczną, zdobytą przez człowieka za wartości idealne, które on dostarcza cywilizacji w sztuce. Jak każde dzieło w tym świece, przez człowieka tworzonym, dom ten ma swoją dwoistość — materjalną i duchową, boć i człowiek, choćby najidealniejszy, ma prócz duszy i ciało. Siłą wyrostu tego domu był duch, twórczość idealistyczna, dążąca do absolutnej prawdy, ale przecież był domem materjalnym. Miał swój dach, który wymaga zabiegu gospodarczego, aby nie zaciekał, ma swoją ścianę licową, którą trzeba znacznym nakładem odnawiać, aby świat nie myślał, iż dom podupada. Dom musi przyciągać, a przyciąga tylko siła, powodzenie. Ideał — ideałem, ale musi mieć swoją minę. Dom zresztą musi być interesem handlowym: wytwarza fortepiany i to jest podstawą jego bytu materjalnego. I tutaj także fortepian zazębia się w system handlowy cywilizacji.

Wszystko się wiąże w tkankach tego złożonego organizmu — sprawy ducha ze sprawami materji. Fortepian jest dziełem przemysłu tak, jak człowiek jest dziełem przyrody. Ten świat roboty człowieczej tem się różni od natury, że wszystko w nim ma początek z ducha i siłą ducha utrzymywane jest w pionach i poziomach. Niechże ten duch się gdzieś załamie, wówczas ukazują się złowrogie szczeliny w partjach bardziej subtelnych, wymagających stałego napięcia duchowego, powiedzmy — egzaltacji twórczej zgoła bezinteresownej. Takie kryzysy duchowe dają się odczuwać przedewszystkiem w sferze życia artystycznego.

Więc np. gdy wskutek przemian w układzie sił społecznych, napłynie do sfer górniejszych żywioł surowy, nie odczuwający potrzeb idealistycznych, wtedy temperatura duchowa pod tem ciśnieniem spada, rodzi się zapotrzebowanie używek pośledniego gatunku, surogatów sztuki, podniet zmysłowych raczej, wogóle rzeczy niewybrednych dla smaku, wartościowanych na ilość, nie na jakość, a tanich, podręcznych, niefrasobliwych, słowem sprzyjającycb użyciu doraźnemu.

Wtedy czasy dla sztuki i spraw z nią związazanych się zmieniają. Dom Balta, słynny w czasach upodobań wytwornych, pogrąża się w cieniu, zaczyna zacichać. Fortepianów nikt nie kupuje — zauważył to nawet idealista stary Balt. Hasłem dnia stała się „tania płyta“. Zrodziło się zapotrzebowanie specjalnego gatunku twórców, którzyby dla motłochu eksploatowali starą wielką sztukę i przerabiali ją na będące w modzie fasony. Ze szkoły muzycznej Balta, która była hodowlą fanatyków przeżyć artystycznych na stopę natchnień, uczniowie zaczynają uciekać do jakichś ciemnych wytwórni, podrabiających sztukę. Taki utalentowany Janowicki, ulubieniec szkoły, podrabia u Tila na Kaczym Targu Beethovena i Szopena, robiąc z nich wycinanki i klejonki efektowne.

Ponęta jest duża. Bo gdy tam w sferze wielkiej sztuki wypłaty są idealne w radości twórczej i chwale, kalkulowanej na wiekuistość, to tutaj płacą gotówką zaraz. Tu jest gotówka, bo tu jest ilość, zwycięzca jakości.

I tutaj mamy dramat społeczny. Budowa całości, jak podkopany dom, pochyla się ku upadkowi. Zaczynają się między dwoma światami wielkiego życia i małego użycia ciche, nawet tajemne kompromisy. Pochylają się tak nietylko jednostki, ale także instytucje. Zachwiał się też dom Balta.

Czytelnik może pamięta to, co pisałem z powodu kryzysu teatralnego (było to w nr. 46 z r. 1931). Przyszedł właśnie taki kryzys na teatr, z którym na wielką skalę stanął do konkurencji Kaczy Targ wszelakich tinglów. Teatry zaczęły zacichać, wreszcie stanęły, gdy zbałamuceni przez Tilów artyści uczynili bunt przeciwko sztuce, małe dającej zarobki. Przestrzegałem: zerwać kompromisy, polegające na tinglowaniu sceny dramatycznej, cofnąć się na stare pozycje, zacząć odnowa. „Sztuka musi przezwyciężyć kryzys moralny społeczeństwa".

Teatr, a w tym wypadku dom muzyczny Balta znalazł się w dramatycznym konflikcie wewnętrznym: jak pogodzić dyrekcję idealną artystyczną z dyrekcją gospodarczą, dbającą o środki materjalne. Szaniawski rozłożył ten dramat na ludzi w ten sposób, że Balt reprezentuje kompleks interesów idealnych, żona zaś jego — merkantyiizm. Ona jest z domu Bayerówna, z rasy innej cywilizacji, racjonalistycznej, dla której *pecunia non olet*. Ona potajemnie nawiązała stosunki z Kaczym Targiem, jako wspólniczka Tila, mającego wytwórnię tanich płyt, sprośnych piosenek, a zresztą ocierającego się o kryminał.

Szaniawski wprowadził nas w dantejski krąg infernów cywilizacji; nad wejściem należy się tu napis: cynizm i obłuda. Szatan tego świata, Til, jest rasy mieszanej, jak kundel. Ma w sobie świadomość złego, pozostałą z czasów, zanim został strącony ze świata słonecznego. To mu daje zdolność wyczuwania przez skórę duchów wyższych; wzrok jego szuka jasnego ich nimbu i ma dla nich niemy szacunek, choć go sobie zakazuje. Ten refleks melancholji na obliczu szatana ma swój rodowód literacki, sięgający Byrona. Til przypomina też biesa Dostojewskiego, ale bardziej po ludzku, mniej demonicznie, krzyżowanego z kanalją. Cynizm Tila ma w swem obliczu wykrzywienie ironiczne, a w oczach błyski szelmowskie. Til jest niewolnikiem swego instynktu węszenia rozkładu, jak hjena. Sam nie wie dlaczego, bo nie dla własnego interesu nawet, gdy wejdzie do ogrodu koło domu Baltów, oblicza w umyśle, jakby tę posiadłość przerobić na kawiarnię i dancing. Powodem jego melancholji i gniewu na los jest to, że działalność jego jest wyklęta i musi odbywać się w mroku nocy.

Wielka scena aktu drugiego, w której następuje starcie dwóch duchów dnia i nocy: Walewiaka, reprezentanta zdrowia ludu i twórczości idealistycznej, a z drugiej strony Tila, stanowi kulminację i węzeł całej sztuki, jakby wiązanie w jej sklepieniu. Scena ta ma wartość literacką, jako samodzielny poemat dramatyczny oraz jako studjum socjologiczne kryzysu cywilizacyjnego. Całość dramatu wydaje się być pretekstem dla tej jednej sceny, która w dziejach literatury będzie zawsze przytaczana, jako wykres psychologiczny naszej epoki.

Dramatem cywilizacji w wykładzie Szaniawskiego jest nie tylko to, że sprawy użycia motłochu nadają charakter epoce, ale co więcej, że górne sfery obłudnie czerpią stąd zyski, że za pieniądze zdobyte po ciemku w norach cywilizacji, dom Baltów naprawia dach, odnawia swoją fasadę. Balt zapatrzony w ideał ani wie o tem, że jego żona (że jego dom) czerpie zyski z handlu żywym towarem sztuki.

Jest coś fatalistycznego w tem, że wszystko w organizmie się wiąże i uzależnia od siebie, że ten organizm stale nosi w sobie zaród śmierci. A jednak życie jest nam przeznaczone. Prawem biologicznem cywilizacji jest duch, który wszystko przemoże i dźwignie na drogę wieczności. To prawo odnawiania się życia przenika wskroś całe społeczeństwo. Rody Baltów niszczeją, twórczość bowiem wypala rasę na żużel; dzieci Balta — to pięknoduchy niezdolne już do życia twórczego; ale ród odnowi się przez związek z ludem, który mu krew ożywi. Szaniawski to markuje, zapowiadając przyszłe dzieje rodu Baltów, ale nie szuka tutaj rozwiązania swego dramatu.

W dramacie Szaniawskiego działa coś przemożniejszego, niż ludzie; on nimi tylko ilustruje dramat głębszy, dziejący się w łonie cywilizacji. Bohaterem jego sztuki jest zbiorowo przez człowieka powołany do bytu twór: fortepian, symbol cywilizacji. On przez wszystkie akty daje się wyczuć w nasadzie całej akcji, on staje się w akcie końcowym osobą decydującą. Ludzie zginą, on zostanie, aby służyć innym. Twory z ducha mają żywot wieczny. On, pomimo że już „sięgał bruku", nawracać będzie do siebie ludzi i będzie instrumentem ich natchnień. Bo w cywilizacji jest tak, że człowiek tworzy byty na to, aby te byty tworzyły człowieka. Wszystko toczy się tą rotacją — po linji falistej, ale spiralnej — ku słońcu.

To, co piszę, nie jest recenzją teatralną, choćby ze względu na rubrykę, w której piszę. Tłumaczę się z tego, jak zrozumiałem myśl filozoficzną „Fortepianu". Publicysta szuka w literaturze myśli własnej, jak oparcia. Przyznaję, że daleko mi jest bliższe to poczucie dramatu cywilizacji, niż Ibsena, którego „Fortepian" przypomina swoją symboliką. Szaniawski swym poglądem na zadania ducha tak różni się od Ibsena, jak cywilizacja polska różni się od protestancko - germańskiej, jak Balt od Bayera, opanowanego doktryną. Mam w pamięci „Budowniczego Solnessa", gdzie symbol starego domu odgrywa rolę dramatyczną, jak dom Baltów, ale odwrotną. Tamten legł w walce z solnessowską ideą nadcywilizacji, pod gruzami wieży Babel, symbolu — doktryn o ludzkości.

Krytycy spierają sie o akt trzeci „Fortepianu", że nie rozwiązał żadnego dramatu osobistego. Mnie właśnie autor tem ujął, że kontury ludzkich losów zagubił w zadumie czasów z tą wiarą, że one przyniosą zwycięstwo ludziom, wierzącym w ducha.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NAJCIEKAWSZA KSIĄŻKA, JAKĄ WYDAŁ ROK UBIEGŁY, teraz ukazała się w trzeciem wydaniu. Dwa pierwsze rozeszły się w sześć miesięcy. Winszujemy czytelnikowi. Winszować książce — trudno; nie miała w swojej klasie rywala, nietylko w Polsce. Jakież studjum z zakresu zagadnień polityki światowej mogło pójść w paragon ze „Światem powojennym i Polską"? Czy w któremkolwiek można było znaleźć przewidywania tak ważkie dla przyszłości, a oparte na znajomości świata tak rozległej i tak pogłębionej? Rosja, Niemcy, Chiny, Mandżurja, Ukraina, kwestja żydowska — wszystkie te kapitalne zagadnienia książka Dmowskiego ukazała czytelnikom w nowym, a niezapomnianym kształcie i wyrazie. Nie tworząc niby całości, będąc tylko nieznacznie uzupełnionym zbiorem artykułów, otwarła przecież

dla wyobraźni politycznej perspektywy tak szerokie w przestrzeni i tak dalekie w czasie, jak żadna inna. Niekiedy, jak w rozprawce o Rosji, całość dziejów wielkiego państwa zamykała w syntezie historycznej, nadającej tym dziejom sens nowy, a potwierdzony przeobrażeniami ostatniemi w świecie powojennym. Obejmując niezmierny krąg zagadnień, za środek swojego świata miała Polskę. Uwidoczniła niezbicie chyba, że dla przyszłości ojczyzny wielkie znaczenie będą mieć pewne zdarzenia ogromnie dalekie. Naprowadziła czytelnika ku rozumieniu doniosłości dramatów dziejowych na Dalekim Wschodzie. Uwagę jego zogniskowała na scenie mandżurskiej, zanim padły tam pierwsze wystrzały. Niemniej ważne dla naszej przyszłości wnioski wyprowadziła ze zmian w życiu powojennych Niemiec. Pierwsza chyba w literaturze światowej z taką stanowczością uwydatniła koniec tendencji dziejowej, znanej pod nazwą *„Drang nach Osten"*, pierwsza z taką energją pociągnęła umysły ku nowym perspektywom, otwierającym się przed Polską. Jako rzeczywistość ukazała pomyślny układ warunków międzynarodowych dla powstania przyszłej Polski-mocarstwa. Poczucie tej rzeczywistości wszczepiła w umysły, zmęczone nieodpowiedzialnością „mocarstwowego" frazesu... A to tylko niektóre dary, jakie przyniosła... Powitał ją rądośnie zastęp czytelników. Snadź dorasta całe nowe pokolenie, pragnące nauczyć się myśleć o najbardziej ważnych dla przyszłości Polski zagadnieniach. Poprzednie do powiększenia swej wiedzy o świecie i o Polsce niebardzo się kwapiło. Niewątpliwie ponosi ono pewną odpowiedzialność za to, że ze wszystkich wielkich narodów mamy dziś najgłupszą chyba literaturę podróżniczą i najuboższą w myśl publicystykę. Poryw zainteresowania, z jakiem pokolenie młode przyjęło książkę o „Świecie powojennym i Polsce"—jest objawem nowym i dobrze wróżącym.

ZDEMASKOWANIE KONFIDENTA. „Gazeta Polska", pragnąc osłabić złe wrażenie, jakie robili w procesie Centrolewu świadkowie oskarżenia, wybrała z pośród świadków obrony jednego, któremu na podstawie dokumentów mogła istotnie powiedzieć: „pan sam był konfidentem i to państw zaborczych". Osobistością tak zdemaskowaną jest p. Ludwik Kulczycki, dawny socjaldemokrata, obecnie (jak informuje „Spół. Encyklopedja" prof. Peretiatkowicza) prezes Rady naczelnej NPR., socjolog, autor szeregu dzieł, profesor Szkoły nauk politycznych i Wyższej Szkoły dziennikarskiej.

Z przytoczonych przez „Gazetę Polską" w urywkach dokumentów (są to własnoręczne raporty Kulczyckiego) wynika, że p. Kulczycki informował szczegółowo w czasie wojny austrjackie władze (wojskowe?) o stosunkach politycznych w Polsce, wskazując grupy i jednostki nieprzyjazne państwom centralnym, lub niewierzące w ich polską politykę, a nawet udzielając władzom rad, jak te jednostki zwalczać. Szczególnym dozoremo taczał Kulczycki obóz narodowy, wymienia wiele nazwisk; niema tam jednak donosów na jedną tylko grupę, mianowicie na grupę NKN-u, a w szczególności na to w NKN-ie najczynniejsze ugrupowanie, które dzisiaj stoi koło „Gazety Polskiej". Dziennik tedy rzeczony dał dowód pewnej bezstronności, wyciągając tę sprawę — i odwagi.

Pozwolimy sobie wziąć poniekąd w obronę p. Kulczyckiego. Najżarliwiej ścigane przez Kulczyckiego było ugrupowanie nasze, z Dmowskim na czele. Ale ono było śledzone nie tylko przez konfidentów płatnych. To samo, z tym samym skutkiem robiły wobec nas wszystkie uczestniczące w NKN-ie grupy ze swoją prasą. Współzawodniczono z sobą w denuncjowaniu nas i obrzucaniu błotem.

P. Kulczycki bynajmniej nie taił swojej służby austrjackiej. Od r. 1912 wychodził we Lwowie tygodnik nakładem namiestnictwa, gdzie bez skrupułu denuncjował polityków polskich wobec władz austrjackich. On to w 1912 r. poruszył policję austrjacką alarmem, że w Pieniakach u Cieńskiego odbyła się konferencja międzydzielnicowa. Ze zgrozą stwierdził, że widziano Dmowskiego na ulicach Lwowa i przestrzegał władze przed skutkami tolerowania roboty wszechpolskiej. Długi czas potem policja lwowska szukała Dmowskiego we Lwowie. On to w artykule ze swoim podpisem domagał się niebawem internowania redaktora „Słowa Polskiego" Z. Wasilewskiego, jako poddanego rosyjskiego. Żadne państwo — pisał — nie tolerowałoby tego, żeby w obliczu wojny postorunek polityczny zajmował obcokrajowiec, przebywający w kraju za paszportem państwa nieprzyjacielskiego. Redaktor Wasilewski wzywany był z tego powodu do namiestnictwa, gdzie mu grożono więzieniem i tylko dzięki osobistym skrupułom obywatelskim namiestnika Korytowskiego redaktor Wasilewski pozostał na wolności.

Dlaczegóż jednak p. Kulczycki nie wstydził się tego robić? Dlatego, że w jego sferze politycznej uchodziło to za rzecz normalną, przyzwoitą, nakazaną nawet, „patrjotyczną". Austrja była rozszerzonem pojęciem ojczyzny. Archiwa wywiadów austrjackich, jak słychać, obóz NKN-u odzyskał i spalił, zachował tylko niektóre raporty, ale znalazłoby się ich więcej.

I jeszcze jedno pytanie: dlaczegoż uważano to za dobre? Przecież te rzeczy były nieetyczne i hańbią imię Polaka. Dlatego, że sfery, wychowane w atmosferze międzynarodówki, miały zatracone poczucie etyki narodowej. One zawsze miały poczucie tylko państwa: jedno państwo zwalczały, na drugiem się opierały. Stosunek do narodu własnego był luźny i zgadywany.

W obozie narodowym stosunek do narodu był busolą polityczną i nie pozwalał na traktowanie uczuciowe żadnego z państw zaborczych. On też dawał politykom narodowym niezależność moralną wraz z poczuciem dumy narodowej. To też wielki zatarg „orjentacyjny" w łonie społeczeństwa polskiego nie był tylko zatargiem politycznym; to był rozłam etyczny. Nie o to chodziło, czy się kto mylił w rachubach politycznych, lecz o to, że było tak wielu ludzi b e z w s z e l k i e j o r j e n t a c j i wobec własnego narodu. Nie czuli oni jedności narodu, jakże mieli dbać o jego zjednoczenie, jakże mieli się wstydzić służby wywiadowczej na rzecz państw obcych?

DZIENNIKI DONIOSŁY, IŻ „tegoroczna rocznica powstania styczniowego obchodzoną będzie w stolicy w sposób b a r d z i e j u r o c z y s t y, niż w latach ubiegłych". Utworzono specjalny „komitet obchodu", zaprojektowano pochód ze środka miasta pod krzyż Traugutta. Rocznice historyczne obchodzi się w pewnych latach „w spo-

sób bardziej uroczysty“, szczególny, z dwóch zazwyczaj powodów: 1) albo dlatego, że w danym roku właśnie przypada data jubileuszowa (np. pięćdziesięciolecie, stulecie, pięćsetlecie i t. p.), 2) albo z tej racji, że chwila bieżąca przedstawia tak widoczną analogję do jakiegoś określonego momentu z przeszłości, iż wspomnienie tego momentu narzuca się samo przez się, a myśl ogółu zwraca się ku przykładom z lat minionych, aby w podobnych okolicznościach chwili bieżącej czerpać z nich naukę i wzory postępowania. Pierwszy motyw „bardziej uroczystego“ obchodu, w tym wypadku, oczywiście nie może być brany w rachubę: rocznica powstania, jaką mamy święcić obecnie, jest sześćdziesiątą dziewiątą... Czy zaś doba dzisiejsza przypomina ów okres ponury, gdy społeczeństwo, skrępowane w wyrażaniu swych uczuć, wyładowywać je musiało w manifestacyjnych nabożeństwach żałobnych, o których zawiadomienia konfiskowano, w nabożeństwach żałobnych, na które zakazywano uczęszczać młodzieży szkolnej, a szpicle, stawiani u bram świątyni, notowali skrzętnie nazwiska osób „nieprawomyślnych“, które były obecne w kościele? Czy chwila teraźniejsza podobna jest do owego momentu, kiedy Naczelnik Rządu cywilnego, pragnąc złamać nastroje opozycyjne młodzieży, zdecydował się na pamiętną „brankę“, na przymusowe wcielenie „w rekruty“ młodych patrjotów? Wprawdzie niedawno prasa żydowska w Polsce zalecała rządowi zastosowanie tego samego środka, jako najskuteczniejszy sposób wytępienia antysemickich i antysanacyjnych nastrojów pośród młodzieży akademickiej... Pocóż jednak gubić się w domysłach? Niechby najlepiej sami organizatorowie (Federacja Zw. Obr. Ojczyzny, Związek Legjonistów) wyjaśnili społeczeństwu, dlaczego właśnie w roku bieżącym postanowili obchodzić rocznicę powstania styczniowego w sposób specjalny, „bardziej uroczysty, niż w latach ubiegłych“...

„Widownią dobrze zorganizowanej akcji antysemickiej, wymierzonej przeciw studentom - żydom, stał się uniwersytet College Park, w stanie Maryland. Okna sali sypialnej zostały rozbite, poczem cegły posypały się na akademików - żydów, którzy musieli schronić się w budynku, należącym do przyjaznej im organizacji, stojącym w pobliżu. Jest to pierwszy wypadek napaści na żydów, jaki zdarzył się na wyższej uczelni amerykańskiej“.

Drobną tę notatkę cytujemy za perjodykiem *„Jewish Times“* (z dn. 21.XII z. r.), wychodzącym w Londynie. Rozruchy antysemickie, o których donosi to pismo, wydarzyły się niemal równocześnie z wystąpieniem młodzieży polskiej. Nie zorganizował ich jednak O. W. P. Ta idąca po świecie i podnosząca się przeważnie w wyskokach przypadkowych, fala jakgdyby świeżej wszędzie niechęci do żydów — to zjawisko, mające przyczyny głębsze, niż „demagogiczne poduszczania“. Jedną z nich może być coraz powszechniejsze w świecie kultury europejskiej (w najszerszem pojęciu słowa) — dążenie do oczyszczenia pewnych pierwiastków tej kultury z osiadłego na nich nalotu, pragnienie zszeregowania się w społeczeństwa, nanowo związane „pierwotną“ rzekomo wspólnotą cywilizacyjną—i plemienną. W odruchach tych wiele może być tylko grą wyobraźni — lecz realną zupełnie jest rzeczą swoista estetyka, jaką ten prąd wytwarza. Dla Europejczyka, choćby tylko rojącego naiwnie o czystości kulturalnej i plemiennej, żyd wydawać się musi zjawiskiem szczególnie niezrozumiałem i potwornem, — więcej intruzem, niż kiedykolwiek. Prądy ściślejszego scalania się narodów, widoczne, obok objawów rozkładu, tendecje odrodzenia się cywilizacyj europejskich — niezawodnie ogromnie utrudnią żydom ich dotychczasową rolę w życiu narodów. Jeśli nie dostrzegamy tego, to dlatego, że w latach ostatnich wykreśliliśmy się właściwie z Europy. Niewątpliwie w położeniu żydów wewnątrz niektórych narodów europejskich zajdą niezadługo poważne zmiany. Będzie się ono musiało dostosować do nowo uświadomionych w narodach tych gustów i mniemań. Przedewszystkiem oczekiwać można tych zmian w Niemczech. Wtenczas może przyjmą i nasze sfery oficjalne fakty dokonane do wiadomości. W niejednem może nawet zechcą naśladować, gdy przykład nas ośmieli. Aż do tego czasu oficjalnem rozwiązaniem problematu, u nas bardziej palącego, niż gdziekolwiek indziej,— będzie i nadal oficjalne zaprzeczenie, że kwestja żydowska w Polsce istnieje. To „Idea państwowa“ mianowicie tak bez reszty tę kwestję pochłania.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Dn. 17 b. m. odbył się w Warszawie, w sali Rady Miejskiej. ogólnopolski Zjazd Pisarzy Katolickich. Przewodniczył prof. Oskar Halecki. Przemówienie powitalne wygłosił J. E. kardynał Kakowski. Referaty wypowiedzieli: pp. Kazimierz Marjan Morawski, Oskar Halecki i Stanisław Miłaszewski. Uchwalono szereg rezolucyj oraz wybrano komisję organizacyjną Zjednoczenia Polskich Pisarzy Katolickich w następującym składzie: pos. W. Bitner, ks. Z. Choromański, prof. I. Czuma, Z. Dąbrowska - Żółtowska, dr. Grzankowski, prof. Br. Gubrynowicz, prof. O. Halecki, red. Kl. Jędrzejewski, ks. Z. Kaczyński, ks. infułat J. Kłos, red. M. Kozłowski, St. Miłaszewski, dr. K. M. Morawski, red. K. Olchowicz, pos. A. Piasecki, red. J. Rembieliński, M. Rodziewiczówna, red. A. Romer, K. H. Rostworowski, sen. W. Rostworowski, sen. M. Seyda, A. Słonczyńska, dr. M. Smolarski, O. Sopuch, T. J., pos. Z. Stahl.

*

Redakcja „Tęczy“ ogłosiła w r. ub. ankietę na temat „Jakie książki czytam i jakie mi się podobają“. Nadsłano 1447 odpowiedzi, do opracowania wybrano 1336. Ponieważ każda odpowiedź zawierała, w myśl wskazówek 14 tytułów, przeto nadesłany materjał obejmuje około 18.000 tytułów książek. Uczestnicy ankiety odpowiadali na następujące pytania:

Trzy książki, które uważam za podstawowe i które posiadam w domu (wszystkie literatury, wszystkie czasy). W tym dziale na pierwsze miejsce wysunęło się Pismo św., następnie kolejno „Pan Tadeusz“, „Quo vadis?“, „Chłopi“, „Krzyżacy“, „Dewajtis“, „Placówka“, „Iljada“, „Nieboska Komedja“, „Faust“, „Na zachodzie bez zmian“, „Hamlet“, „Księgi dżungli“, „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“.

Trzy najlepsze książki literatury polskiej wszystkich okresów: W tym dziale ukształtowały się tytuły w następujący sposób: Trylogja, „Popioły“, „Lalka“, „Dziady“, „Faraon“, „Ludzie bezdomni“, „Nad Niemnem“, „Treny“. „Rodzina Połanieckich“, „Syzyfowe prace“, „Stara Baśń“, „Trędowata“, „Nieboska Komedja“, „Wesele“, „Irydjon“, „Anhelli“, „Koń na wzgórzu“.

Trzy najlepsze powieści polskie, jakie czytałem (am) w ostatnich 2 latach: W tej rubryce dała ankieta następujące wyniki: „Pożoga“, „Złota wolność“, „Serce lodów“, „Legnickie pole“, „Lenin“, „Tęcza nad sercem“, „Żywot Mikołaja Srebrempisanego“, „Boczna Antena“, „Dzień dzisiejszy“.

Tom poezyj, który czytałem(am) ostatnio: W odpowiedziach tej rubryki najwięcej głosów padło na literaturę dawniejszą, więc przedewszystkiem na poezje Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Z poezyj nowszych rozdzieliły się głosy w następujący sposób: „Księga ubogich“, „Dzień duszy“, „Ucho igielne“. Poezje Kasprowicza, „Pod lazurową strzechą“, „Pieśń o ojczyźnie“, „Królewska pieśń“.

Najlepsza książka popularno - naukowa ze specjalności, która mnie interesuje (wydana po r. 1920): Największa ilość

głosów padła na książki z zakresu gospodarstwa domowego, hodowli zwierząt, roślin oraz kucharstwa. Poza tem głosy rozdzieliły się na następujące książki: „Świat powojenny i Polska“, „Polityka polska i odbudowanie państwa“, „Wiedza, wiara i miłość“, Cuda techniki, Metoda przyrodolecznicza, Encyklopedja, „Zasady nauczania“, „Radosna szkoła“, „Szkoła i społeczeństwo“.

Redakcja „Tęczy“, pragnąc, aby uzyskany materjał został opracowany dokładnie, odda go do opracowania jednej z instytucyj naukowych. Obecnie redakcja z materjału powyższego następujący wniosek ogólny wyciąga: Literatura dawniejsza, w dziale poezji—okresu romantycznego, w dziale prozy — okresu pozywistycznego ma jeszcze dzisiaj olbrzymią przewagę w zamiłowaniach czytelników nad literaturą nową.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Do cyklu „opowieści ewangelicznych“ Szczepana Jeleńskiego, które w swoim czasie omawialiśmy na tem miejscu, przybyło nowe ogniwo, niemniej piękne od poprzednich. Tytuł tej książeczki (wydanej przez księg. św. Wojciecha) brzmi „Hallelujah!“ Oczywiście jest to ten sam okrzyk, który słyszymy w pieśniach wielkanocnych: „Alleluja“ — ale podany w formie właściwszej pod względem lingwistycznym. Nie jest to jedyny szczegół, którym Jeleński zdradza znajomość hebrajszczyzny; cała książka pełna jest erudycji filologicznej i historycznej. Tylko, że ta filologja nie bywa natrętna. Jeleński jest zbyt wielkim artystą, by podawać czytelnikom suchy wykład naukowy. Choć nazwiska i postacie osób, występujących w tej powieści, niczem nie odstępują od tradycji kościelnej oraz od tekstu Ewangelji, jednakże autor umiał je wyposażyć w tak plastyczne rysy, takiem natchnąć życiem, tyle wlać w nie subtelnego uczucia, iż całość wydaje się wymyśloną przez poetę legendą. Wielokrotnie opracowywane przez literatów Dzieje Marji z Magdali (dość wspomnieć Maeterlincka) już się trochę jakgdyby skonwencjonalizowały; Jeleński poszedł więc drogą nieutartą jeszcze, wynalazł nowe motywy. Conajwyżej w traktowaniu motywu trędowatych możnaby wynaleść pewne styczne z Claudelem. Wielką rozmaitość uzyskała powieść Jeleńskiego dzięki (tradycjonalnemu zresztą) utożsamieniu Magdaleny z cudzołożnicą, uniewinnioną przez Chrystusa wobec faryzeuszów oraz z Marją, siostrą Marty i Łazarza. Rodzeństwu temu dodał autor jeszcze jedną siostrę, młodziuchną Lię, przez co okrasił powieść jasnym, dziecięcym uśmiechem. Zresztą i samego Łazarza zgodnie z dociekaniami uczonego francuskiego Guernina, uczynił młodzieniaszkiem; może tu działało skojarzenie tegozmartwychwstańca ze wskrzeszonym młodzieńcem z Naim. Ponieważ ostatnie dni ziemskie Chrystusa przed męką miały często za widownię domu sióstr w Betanji, nasunęło to autorowi pomysł zaznaczenia silnego związku między zmartwychwstaniem Łazarza i Chrystusa. Pomysł to trafny pod każdym względem: ideowym i artystycznym. (J. B.)

*

Do wydanych w roku zeszłym „książek czerwonych“, mających na celu moralne kształcenie młodych czytelników przez wskazywanie im wzorów poświęcenia, miłości bliźniego i ofiarnego spełniania powinności, dodała obecnie księgarnia św. Wojciecha trzy nowe tomy. Wytyczną linję tej pożytecznej i pod każdym względem pięknej bibljoteczki wskazują już same tytuły: „Śladem bohaterów“ i „Bóg w serduszkach dzieci“. Piękna jest zwłaszcza druga z tych książek, napisana przez sławnego poetę francuskiego, Francis'a Jammes'a; jest to zbiór nowel bardzo rzewnych, a nieraz głęboko ujętych, których mottami są błogosławieństwa, wypowiedziane przez Chrystusa w Kazaniu na górze; błogosławieństwa te przeznaczone były głównie dla tych, którzy cierpią i płaczą, stąd w zbiorku przeważają tematy smutne, jednakże uśmiechy dziecięcych myśli i powiedzeń zacierają tę jednostronność. Druga książka należy do typu rozpowszechnianych dziś u nas powieści hagjograficznych; bohaterem jej jest młodzieniaszek Tarcyzjusz (a raczej Tarsycjusz, bo tak go zwą dawne kroniki), męczony za to że przynosił chrześcijanom do więzienia Ciało Chrystusowe. Wątek ten, który był już nieraz opracowywany w powieści i dramacie, zyskał teraz w Elżbiecie Pauli nową, wytrawną autorkę. Nowością pod każdym względem jest, oryginalnie napisana przez Ludwikę Jeleńską, powieść o niedawno beatyfikowanym księdzu Janie Bosko „O Janku, który umiał chcieć“; powieść naprawdę ciekawa, boć barwne było życie tego niezwykłego człowieka, który najpierw był pastuchem, potem (jakby czyniąc konkurencję swemu „imiennikowi“ — przysłowiowemu „czarnoksiężnikowi Bosko“) akrobatą i wirtuozem, a wkończu wielkim społecznikiem, filantropem, pedagogiem i uczonym. Ilustrowała te książki Marja Jaroszyńska; można tym ilustracjom zarzucać omyłki w zakresie wiedzy historycznej (zwłaszcza strojów) niepodobna odmówić im wielkiego wdzięku. Łączy je pewne pokrewieństwo z włoskiemi ilustracjami Pinellego. (J. B.).

ZE ŚWIATA SZTUKI

Dając wzmiankę do poprzedniego numeru „Myśli“ o wystawie „Bractwa Św. Łukasza“ napisałem: najpoważniejsze dziś w Polsce zrzeszenie artystyczne. Zrobiłem to nie bez kozery. Bo istotnie ten przymiotnik najściślej określa ogólne zalety stowarzyszenia i może być rozumiany dwojako. Po pierwsze, pojmowany w ogólnem znaczeniu tego słowa, mówi o wysokim poziomie „Bractwa“, po drugie — i to przedewszystkiem miałem na myśli — maluje atmosferę w niem panującą i stosunek jego członków do sztuki. Mamy tu do czynienia z najwyższej miary rzetelnością, wysiłkiem artystycznym maksymalnego napięcia, surowością osądu dzieł własnych. Znamiona te, łącznie z talentem i pierwszorzędną wiedzą techniczną, składają się na całość rzadko obecnie spotykaną. Trzeba przyznać, iż publiczność zdaje sobie dobrze sprawę z wartości „łukaszaków“ i wystawy ich cieszą się wielkiem powiedzeniem, natomiast krytyka z podejrzaną jednomyślnością szuka dziury w całem. Zarzucano im po pierwszych wystawach, że zbyt naśladują Holendrów i nasi panowie krytycy wielki gwałt podnieśli z tego powodu. Ciekaw jestem, dlaczego siedzą cicho— ba, co tam cicho, zachwycają się — jeśli kto robi plagjaty malarstwa paryskiego. Gdzie tu konsekwencja? Oczywiście, zbytnie uleganie wpływom nigdy się nie chwali, ale z dwojga złego, lepiej już uczyć się tego, co wytrzymało próbę czasu, niż imitować często zupełnie bezwartościowe wyczyny obcej współczesności. Zresztą pod tym względem trzecia wystawa „Bractwa“ sprawiła prawdziwą niespodziankę: „łukaszacy“ jak na młodych, byli dotąd nieco za mało ruchliwi, teraz patyny muzealnej i sosów jużbyś się nie doszukał (z wyjątkiem Janusza Podoskiego); wielu członków „Bractwa“ udowodniło, jak szeroki jest zasięg ich możliwości. Z tego powodu zdarzył się nawet zabawny wypadek. Jeden z t. zw. krytyków, nie oglądając wystawy, napisał recenzję. Pewny swego grzmiał dalej na „Holendrów“. A tu okazuje się potem, że nic podobnego. Wpadł.

Dzieła najwybitniejszych współczesnych polskich artystów zachowały właściwą miarę w przyswajaniu zdobyczy obcych, rozum w zużytkowaniu ich dla potrzeb własnych, tak więc stały się współczesnemi, a nie przestały być polskiemi. To właśnie wydaje się niemożliwe dla wielu nawet zdolnych malarzy. Deprawowani przez krytyków, nie widzą współczesności poza paryską międzynarodówką. Z niczem podobnem nie spotykamy się w „Bractwie“; taki np. Cybis: jego najlepsze rzeczy, przy wysokim poziomie, są i współczesne i indywidualne. Sztuka „łukaszaków“ zadaje kłam mniemaniu, iż dzieła największej kultury artystycznej mogą ocenić jedynie wybrani. Ich prace znajdują uznanie u wszystkich. Fachowiec ma tu kopalnię pomysłów formalno-technicznych, znawca ucztę dla najwybredniejszego smakosza, publiczność—wartości plastyczne, które rozumie i odczuwa po swojemu, choć nie zna środków, jakiemi zostały stworzone. I z tych racyj „łukaszacy“, ci przedewszystkiem malarze i jeszcze raz malarze, predestynowani są do odegrania ważnej roli, o której może nawet sami nie wiedzą. Zacieśniają z powrotem coraz bardziej rozluźniający się kontakt publicz-

ności ze sztuką. Lekceważenie potrzeby tego kontaktu pogłębiało jeszcze tragedję sytuacji. „Od dłuższego czasu“ — pisze prof. Pruszkowski[1]) — „uważamy za ideał malowanie dla rzesz ludzi specjalnie wyczulonych, lub udających takich (snobów). Czy nie jest to stanowisko upokarzające? Rzesze nic tego malarstwa nie rozumieją“. A dalej: „Ale czy nie należałoby usiłować tworzyć tego rodzaju sztukę, która przy zachowaniu wszelkich cech wielkiej sztuki, nie przerażałaby jako tako czującego ogółu. Zadanie niewątpliwie trudne, tem jednak ciekawsze“... Zadanie to spełniają właśnie „łukaszacy“.

Jak już wspomniałem, w sztuce „Bractwa“ św. Łukasza zaszły duże zmiany. Oczywiście przy takiem, jak u nich, traktowaniu pracy — na lepsze. Ogólnie biorąc, wyrażają się one zwrotem ku zwiększeniu walorów dekoracyjnych malowidła: przez wyeliminowanie drobiazgów, bardziej syntetyczne traktowanie formy i barwy, rozmyślne ograniczanie skali barwnej, a także przez środki techniczne, t. zn. użycie tempery obok farby olejnej oraz innych spoiw barwnika. Również rozcieńczenie farby olejnej, jak to obserwujemy na wielu obrazach, w zgodzie jest z ich, bardziej niż przedtem, dekoracyjnem ich założeniem. Pozatem typ obrazów stał się więcej kameralny, znikły wielkie malowidła, ustępując miejsca zadaniom niemniej trudnym, lecz przeprowadzanym na mniejszym odcinku płótna, środkami bardziej szlachetnemi w swej wyszukanej, pozornej prostocie. Co do innych zmian, omówię je, charakteryzując po kolei każdego artystę.

Bolesław Cybis należy, obok Gotarda, do najlepszych rysowników nietylko w „Bractwie“, ale i w Polsce. Jako artysta, jest on typem intelektualisty, dzieła jego są rezultatem olbrzymiej wiedzy rysowniczej i technicznej i gruntownego przemyślenia koncepcji. Ogranicza rozmyślnie skalę barw, starając się doprowadzić do harmonji skromne ilościowo zestawienia kolorystyczne, do harmonji często perfidnie wyszukanej (np. Staruszka). Czasem poprzestaje na nieledwie dwutonowem zabarwieniu form. Niepoślednią rolę odgrywa tu kompozycja, a jeszcze większą wyraz i pomysł. Wyraz w najlepszych pracach wyprowadzony jest ze wszystkiego: np. w obrazie p. t. „Staruszka“ wypływa z kompozycji form, z jej skośnych kierunków, z konstrukcji głowy, z ruchu postaci i wreszcie z zestawienia całości z jaskrawą, żółto-zieloną plamą centrum obrazu. Poszukiwania techniczne pasjonują artystę, te stosunkowo niewielkie płótna kryją w sobie całe tajemnice; widzowi dostępne jest jedynie podziwianie różnic faktury. Cybis idzie drogą własną, wsparty o wysoce rozwiniętą świadomość środków i ruchliwość inteligencji artystycznej, która nam może zgotować jeszcze niejedną niespodziankę.

Jan Gotard jest analitykiem formy. Prowadzi ją od szczegółów do całości. To odwrócenie przyjętej zazwyczaj kolejności nie grozi tu niczem: wszystko jednoczy indywidualność artysty, jedna z najbardziej odrębnych w „Bractwie“. Ona to szczegóły sprowadza do jednego mianownika, scala je i przepaja tchnieniem czegoś niesamowitego, upodobaniem malarza do kształtów, które potocznie nazywamy brzydkiemi. Skala odczuwań Gotarda jest ograniczona, malarz zupełnie szczerze nie rozumie wielu wartości, na które reagują inni. Ale w tem ograniczeniu właśnie leży jego siła, siła tak straszliwa, jak straszliwem się staje w działaniu niewinne napozór powietrze, gdy przez prężność swą rozsadza ściany, w których się nie może pomieścić. Przez drobiazgowość traktowania formy, koloryt ciemny i stonowany, Gotarda wiążą z dawnem malarstwem. To nieprawda. Trudno o sąd bardziej powierzchowny. Gotard nie jest w stanie nikogo naśladować, nie może, nie potrafi być kimś innym, tylko sobą. Choćby nawet chciał. Byłby takim w każdem miejscu i czasie. Stajemy przed obrazem, jak przed faktem dokonanym. Ale tu faktem jest ta indywidualność, drapieżna w swej bezwzględności. Można jej ulec lub odejść. Nie można jej poprawiać. I tu też dostrzegamy zmiany na lepsze, są one ulepszaniem ciągle tych samych wartości. Forma staje się coraz bardziej miękka, technika puszysta, koloryt skromny, lecz ciepły i przyjemny. W kompozycji więcej ładu.

Pozwalam sobie zwrócić uwagę Dyrekcji Zbiorów Państwowych, iż dwa dzieła: Gotarda „Ciotka“ i Cybisa „Staruszka“ powinny stać się czemprędzej własnością Państwa.

Niestety, z powodu braku miejsca prace pozostałych „łukaszaków“ będę musiał omówić w następnym numerze. Tam też dokończę o „Salonie Zimowym“ Instytutu.

WIKTOR PODOSKI

[1]) „Plastyka“ zeszyt I, czerwiec 1930 r.

TEATR

VIRTUTI MILITARI

TEATR POLSKI (Szyfmana) zadziwił szeroką nawet publiczność pochopnością, z jaką wystawił sztukę K. A. Czyżowskiego *„Virtuti militari“*.

Utwór p. Czyżowskiego nie ma wartości literackich i teatralnych. Niedojrzały jest artystycznie z powodu zasadniczych braków organicznych. Jest to sztuka historyczna, oparta na zdarzeniach niedawnej wojennej przeszłości, ale zarówno sama rzecz dramatyczna, jako przeżycie, jak i myśl nadana tym zdarzeniom, jako oświetlenie, niemile rażą swoją czczością.

Ars longa—vita brevis. Sztuka zawdzięcza swoją rację bytu tajemnemu instynktowi życia, które wie o sobie, że jest krótkie, i pragnęłoby się utrwalić na zawsze. Sztuka sprawia, że wartości przeżyć trwają wiecznie, zaczarowane w dziełach. Artyści są tymi duchami, które wydają sąd o wieczności i sprawiają, że co ginie w życiu, to znajduje ocalenie w pieśni. Dla tego wymagamy od artystów szczerości, prawdy, nazywamy ich pomazańcami Bożymi. I dla tego też robienie pieśni na zamówienie nie wychodzi na dobre sztuce, ani życiu, któreby chciało w pieśni się uwiecznić.

Co komu przyjdzie z tego, że autor akt pierwszy obrócił przeciwko prawdzie historycznej? Przedstawił mianowicie rzecz tak, że starsi uczniowie gimnazjum w Krakowie porwali za broń, aby walczyć z Austrją. Doprowadziły ich do tego szykany polityczne władz, które nie pozwalały wspominać powstań narodowych (cenzura, policja, profesorowie). Przecież to nieprawdziwe, przecież to przeniesione z Wilna czy z Warszawy do Krakowa dla celów widowiska. Pieśń z fałszywego tonu zaczęta. Czegóż innego właściwie uczono w szkołach galicyjskich, jak nie kultu poezji romantycznej i romantycznych powstań? Kraków ruszał na wojnę nie przeciwko Austrji, lecz z Austrją i to z przekonaniem, że tak trzeba.

Taki początek źle usposabia do całej sztuki. Bo też więcej w niej afektacji, niż myśli, więcej sentymentalności niż tężyzny. Skądże wśród dzielnej młodzieży wojackiej miało być tyle histerji, płaczu i rozżalania się nad swojem poświęceniem? To są wszystko fałszywe nuty, ckliwe, tromtadrackie poetyzowanie spraw żołnierskich, które są poetyckie w życiu właśnie dlatego, że nie są takie, jak w sztuce p. Czyżowskiego.

Pretensjonalność pozy nie pozwoli tej sztuce być utworem popularnym. Dosyć zestawić tę rzecz z pełną prostoty bajką „Kościuszko pod Racławicami“, aby zrozumieć znaczenie szczerości w sztuce.

Z. W.

OFENSYWA

„HEROLD"

Motto: Nie śmiej się dziadku
z cudzego upadku.

Z „ZAISTNIENIA" i wydawania pisma „Herold" niewiadomo właściwie, czy się cieszyć, czy smucić. Najpierw niewiadomo czy tytuł wogóle trafny i tradycyjny; raczejby było chyba: „Heroldja", „Heraldyka". Ale mniejsza z tem. Do kolegjum Heraldycznego należą: prezes Wł. Z. Grocholski, Z. Belina-Prażmowski, L. Wł. Grocholski, b. w. w p. W. Sołtan, Adam hr. Montresor, Kal. hr. Dunin-Borkowski i przedziwnie sympatyczny przez swój frenetyczny entuzjazm i żarliwą uczoność Jan Maleszewski. Pismo odwrócone obliczem wstecz, zamieszcza ciekawe historyczne wywody z dziedziny genealogji i heraldyki polskiej, zajmuje się autentycznością różnych klejnotów i tytułów szlacheckich, bada koneksje i koligacje. Jest więc tedy nadzieja, że w tem piśmie może wreszcie pojawi się też studjum rasologiczne nad procentem krwi polskiej w Radziwiłłach, Lubomirskich i stąd wypływających konsekwencjach politycznych...

Zaistnienie „Herolda" przypadło na czasy pozornego renesansu arystokracji polskiej i podsadzenia jej z powrotem w siodła. Do maja r. 1926 szło się siedmiomilowemi butami w kierunku integralnej fornalokracji, którą zapoczątkowała zresztą ostra reforma rolna, przeprowadzona w Sejmie gładko głównie dzięki agitacji i suggestjom hrabiego Wł. Skrzyńskiego (obecnego posła w Watykanie). Po maju znowu w drugą ostateczność: Dzików, Nieśwież, Łańcut. Obłaskawianie Jakobinów, Podfilipszczyzna pije bruderszafty z pierwszą brygadą. Polowanka, *lunch*, obiadki, z „czerwonymi" generałami. Aktoreczki na przynętę dla „Maratów" i Robespierdków. Pułkowniki wchodzą w „towarzystwo". Książątka politykujące zacierają ręce, że „już są nasi"; geroje dorwały się do starego koniaku. Heraldycy Centralnej figurze dorabiają genealogję od Mindowego względnie od Rurykowiczów. Najulubieńszą książką tych rozmaitych ekonomskich synków, przeważnie z Galicji, staje się: *„Democracy under Revision"* którą poznają wyczerpująco z artykułów Anusza i z cytatów Burdy i Sanojcy i t. p. „Trzeba odbudować Bastylję" proponuje śmiało jakiś potomek skromnych sobie kolonistów niemieckich, a przypadkowy arystokrata St. Mackiewicz z dość licznie obrodzonej rodziny (20.000 w samej Wileńszczyźnie) bardzo efektownie domaga się monarchji z dynastją Kościeszów (nie mieszać z uroczą Barbarą Kościeszanką!). Lwem salonów warszawskich staje się Cyklop Sławek we fraku od Zaremby, Bebewory zakładają sobie klub na Foksalu, gdzie pewien sympatyczny *manager* — (obecna gaża 8000 złotych miesięcznie) aranżuje dla Kostka kolacyjki, zawsze z szampanem i zawsze z „reprezentantami najstarszych rodów w Rzeczypospolitej". Raz po razu toastują ku czci Murawiewskiego, najgłębiej przekonani, że jak paniedzieju w Anglji wrócili do władzy konserwatyści, tak i u nas wszystko idzie jak po maśle. Perswadować im zaś, że ten a ten to owszem *gentleman*, ale tamten to normalny „łobuz", to oni na to: „tak twierdzi wasz obóz!, a wy sejmokraty, partyjniki, demoliberały, moskalofile, ugodowcy, coście „chamom" Polskę zaprzedali, a w 1921 r. bolszewikom Mińszczyznę i Inflanty"!...

I coraz mocniej i czulej przytula się nasz *high-life* do dyktatury I-szej brygady, aby zaś się przypochlebić i fawory zyskać, coraz zażarciej i już całkiem trywjalnie napastuje obóz i ideologję narodowo-katolicką, no i coraz więcej wychodzi na tym mezaljansie jak Zabłocki na... mydle. Pan Stecki, co już w r. 1918 uwodził ziemian „ku komendantowi" Beselerowi, teraz pociesza ich jeszcze, że już lada chwila, maluczko a... wszystko się poprawi... A tymczasem nawet stary Kamerdynerski „Czas" pisze:

> „Los ziemian naszych pogarsza się nieustannie. Wprawdzie ceny zboża poszły w górę, ale zwyżka przyniesie ulgę tylko drobnej części ziemiaństwa, gdyż 80 proc. zboża już wyszło z rąk producentów. Statystyka rządowa mówi wprawdzie co innego, ale jej cyfry, oparte na frachtach kolejowych, są niedokładne. Zresztą zwyżka przychodzi zapóźno, gdy 3/4 warsztatów rolnych uległo zniszczeniu"...

A za „Czasem" jako za panią matką i „Dzień Polski" (nr. 253) zdobywa się na lamenty"...

> — „Bankrutuje bowiem masowo wielka własność ziemska, ale bankrutuje również i uprzywilejowany przez Państwo stan włościański, upadając pod ciężarem świadczeń samorządowych i nie mogąc spieniężyć własnych produktów".

Gorzkich żalów Eustachowego „Słowa" wileńskiego już i powtarzać „niema co", bo co w trzecim numerze skarżą się i popłakują. Jednem słowem cała magnaterja schodzi nam w oczach na dziady. A kiedy „Robotnik" pisze w tytule: „Zwycięski pochód obszarników", no to poprostu idjotyzm, jakiego świat i Korona Polska nie widziały. Widocznie nie znają tam jeszcze tej afery z tą dziewuszką z Dollarici, o której złocisze dwa prastare rody: Pilawici i Trzy Trąby taki bieg z „przeszkodami" rozpoczęły, nad którym *„tout Varsovie"* poprostu trzęsie się od śmiechu. Myślała tedy *„Society"*, że Sanację skokietowawszy stanie finansowo na nogi. A tymczasem? Leży na całym froncie. „Złapał kozak tatarzyna a tatarzyn za łeb trzyma"... Chciałeś tego Georges Dandin, (Grzegorzu fafuło), chciałeś tego. No to teraz cierp za swoją tępotę i głupotę i dziękuj tym wszystkim *manager*'om, co Klub na Foksalu zakładali, a sami do Paryża drapnęli... Co w Rosji zrobiło się w jeden rok, w kilka miesięcy, drastycznie i melodramatycznie, to u nas idzie ewolucyjnie, stopniowo, po schodach ale z jednakim efektem i skutkiem. Jest atoli pewna różnica i zwraca na nią uwagę „Zielony Sztandar":

> „Jesteśmy świadkami masowego wystawiania na licytację majątków ziemskich przez najrozmaitsze Banki państwowe i prywatne, a nawet urzędy skarbowe. Równocześnie daje zauważyć się pęd do kupowania tych majątków przez ludzi, którzy poza pieniędzmi żadnego tytułu do posiadania ziemi nie mają — są to w wielu wypadkach najrozmaitsi kombinatorzy, a przeważnie Żydzi. Akcja ich w kierunku zawładnięcia ziemią nosi charakter zupełnie planowy i zdawałoby się, że po opanowaniu handlu, przemysłu, finansów, zabierają się do opanowania tego, co jest najbardziej istotne dla ludu polskiego, t. j. ziemi".

No, i to jest niedobrze. Nie to jest źle, że taki a taki bubek popisuje: „Trzeba odbudować Bastylję"! Nie to jest źle, że pan Mackiewicz *„pour epater les Pepees"* domaga się króla. I nie to jest źle, że *„going the dogs"* ta magnaterja, która zawsze była i jest jako te maharadże indyjskie. Ale to jest źle, że na stare pałace i dwory znajdują się amatory: żydy.

Z tej przyczyny nie wiadomo jeszcze, czy cieszyć się czy smucić z „zaistnienia" pisma „Herold", wydawanego przez „Kollegium Heraldyczne". Normalnie by się człowiek cieszył, bo w tem jest coś *„quite english"*. Ale jak się słyszy co dzień nowe kawały to o Potockich, to o Radziwiłłach, to o tym Łańcucie, to o tej dziewczynce z Dollarica... no to... no to raczej by się stało po stronie księcia Filipa Orleańskiego... raczej by się cytowało Chamforta, hrabiego Mirabeau lub Saint-Justa...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Redakcja „Gazety Polskiej" usiłuje teraz przekonać opinję, że właśnie Sanacja i tylko Sanacja wierzy w naród. Tyle lat nie wymawiało się tam wyrazu: naród! Więc jest postęp.

W nr. 17 w artykule „Formuła deklamacyjna" „Gaz. Polska" podaje nawet genezę tej wiary w naród: „Nie w kancelarji mecenasa Liebermana, ani nie w lokalu parlamentarnym prezesa Witosa płonęło niegasnące światło wiary w Polskę — ale jak daleki promień latarni morskiej nieustającem wezwaniem wołała ku krajowi z w i e ż y c M a g d e b u r g a"...

Bardzo niezgrabnie to powiedziano. Każdy bowiem czytelnik powie: „patrzcie państwo! A myśmy sądzili, że wiara w naród jest wytworem krajowym".

Przy czytaniu pism sanacyjnych trzeba zawsze mieć na uwadze, że tam nie myśli są wygłaszane, lecz „formuły deklamacyjne". Tam ciągle jakieś „nieustające wezwanie woła niegasnącem światłem latarni morskiej"... Owa wiara w naród jest jeszcze czemś bardzo mistycznem.

*

Sanacja jest bardzo solidarna, gdy chodzi o interesy BB, o kult jednostki, o posady, o Brześć i t. p., daje natomiast wolną rękę swoim ludziom, gdy sprawa tyczy—Polski. Tu każdy może improwizować kwestje terytorjów, ustroju państwa, sojuszów. Taki bebe czy bubek, jak Mackiewicz, kokietując krótkiemi majteczkami, zmienia republikę na monarchję, zrywa sojusze państwa i zawiera nowe. A kiedy wynika z tego powodu skandal międzynarodowy, pisze kostyczny list do Jouvenela...

Skądże tytuły do tego? „Bo ja chciałbym"... — odpowiada. A co komu do tego, czego chciałby rozwydrzony Dyzio z Wilna!

Rzecz dziwna, że dzieje się to w obozie, głoszącym hasło: wszystko dla państwa, Przedewszystkiem zacząć winno od siebie „wychowanie państwowe", nauczyć takich niedowarzonych chłopców respektu dla spraw stanu.

TREŚĆ: Dlaczego bankrutują? *I. Serd.* — Luki w procesie *J. Mosdorfa.* — Błędy naszej propagandy *J. Drobnika.* — Sienkiewicz w nowej Polsce *St. Pigonia.* — Edward Woyniłłowicz *St. Kozickiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy — Nauka i literatura. — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Teatr *Z. W.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.